

**ZBIGNIEW  
BRESSA**



**CZAS ŻĘCIA**

ZBIGNIEW BRESSA

**CZAS ŻĘCIA**

PACZKÓW 2018

Korekta i redakcja  
Monika Mielcarek

Skład i łamanie  
Zbigniew Bressa

Projekt okładki  
Zofia Bressa  
Wykorzystano elementy darmowych zdjęć z pixabay.com

Wydanie I

*Czas żęcia*  
©Copyright 2018 by Zbigniew Bressa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

ISBN: 978-83-950224-5-6

Zbigniew Bressa »Self Publishing«

[zbigniewbressa.com](http://zbigniewbressa.com)

Paczków 2018

Dotychczasowe publikacje Zbigniewa Bressy:

WIBRUJĄCE MOCE (2016)

\*

ROZPROSZONE MROKI (2017)

\*

U PODNÓŻA SZCZYTÓW(2018)

\*

NIEWIDOCZNE CIENIE (2018)

\*

CZAS ŻĘCIA(2018)

Fascynujące fabuły. Wartkie akcje. Egzotyczne scenerie.

Nietuzinkowi protagoniści.

Sięgnij po jedną z książek, a zgłębisz  
mroczne otchłanie ludzkich dusz.

Wkrótce ukaże się kolejna powieść tego autora:

**POMRUKI GŁUSZY.**

Rozdrobniona bieszczadzka wioska. Szumią lasy,  
szemrają strumyki, w żdźbłach perli się rosa, nad łąkami unosi  
się magiczną woń skoszonej trawy. Życie toczy się beztrosko,  
czas płynie wolno. Nagle błysk, huk! Nadchodzi sztorm. Do  
góry nogami przewraca się ład. Sielanka zmienia się w koszmar.

**[zbigniewbressa.com](http://zbigniewbressa.com)**

*„Zapuść sierp swój, a żnij, bo nadszedł  
czas żniwa i dojrzało już żniwo ziemi”.*

Apokalipsa Świętego Jana. Biblia Gdańska.

# I.

## RACHELA

### 1

Wschodowi słońca towarzyszyła cisza. Wszystko zamarło w bezruchu. Gęsta mgła spowiła olszyny i opatulone białą korą brzozy, upodabniając je do przystrojonych w zwiewne tiule sylwetek. W powietrzu rozchodził się zapach siana, przytłumiony poranną wilgocią. W źdźbłach traw szklila się rosa, na płatkach kwiatów połyskiwały srebrzyste perełki. Nad mokradłami, stawami i łąkami zawisły kłębiaste opary.

Pracowite pająki nie zmarnowały nocy – rozłożyste liście paproci zdobiły koronkowe serwety. W misternie splecionych jedwabistych włóknach zawisły sznury cyrkonowych kropeł.

Wiatr nadał policzki i dmuchnął. Zatrzęsły się korony sosen, zadrżały osiki, zaskrzypiały dęby, zaszemrały wiązy, załopotwały liście i zaszleściły trzciny. Każde z drzew, krzewów i roślin wydawało inną melodię i tylko wprawne ucho mogło wyłapać i prawidłowo rozpoznać poszczególne tony.

Ze snu budziły się ptaki. Ćwierkały wróble, świergotały skowronki, kukały kukułki i gruchały gołębice. Dzierzby śpiewały dźwięczne piosenki, a trznadle wyrażały swe skargi żalonym trelem. Wtórował im dzięcioł, wałący zawzięcie dziobem w spróchniały pień. W oddali zapiął kogut i zaszczekał pies. W przestworza wzniosł się jastrząb, kołujący i wypatrujący ofiar. Zawiesił się na moment w powietrzu, by następnie majestatycznie oddalić się w inne miejsce.

W szuwarach zaszleściło. To stado płochliwych kuropatw wybrało się na spacer. Matka, a za nią młode. Zza drzewa wy-

rzał zaciekawiony zając, rozglądający się trwożnie dookoła. Podniósł uszy, uważnie nasłuchiwał, po czym pokicał w kierunku zarośli.

Ponad lasem płynęły obłoki. Słońce wspinało się na firmament nieba, a strumienie ciepła uderzały w chłód. Szarość roztaśniała się w jutrzence. Żłociste promyki docierały do zacienionych zakątków, niosąc z sobą życiodajne światło.

Z mroku wyłaniały się domy, stodoły, przydrożne kapliczki i krzyże. Pomimo wczesnej pory w oknach chałup zapalały się światełka, a z osmolonych kominów buchnęły kłęby siwego dymu. W wiejskich zagrodach zapanowała krzątania. Oporządzano inwentarz – sypano owies do końskich żłobów, przynoszono bydłu siano, a do świńskich koryt wlewano zlewki ze śrutą.

Po wyboistych traktach potoczyły się furmanki. Woźnice strzelali z batów. Słysząc było rzenie, tętent kopyt i terkot kół wozów.

Wzdłuż polnych dróg rozciągały się niwy pszenicy, żyta i owsa, poletka ziemniaków i zagony żłocistego lnu. Nad łąkami unosił się zapach skoszonej trawy.

Wieś Bagno – po niemiecku Brauchdorf – była położona w obniżeniu terenu. Obok sioła płynęła rzeka, która wiała się przez dolinę na podobieństwo srebrzystej żmii. Po obu brzegach Nysy Kłodzkiej rozrzucone były chałupy. W zakolach osadzał się muł. Na podmokłych łąkach utworzyły się sadzawki, porośłe grzybieniem i tatarakiem.

W sąsiedztwie sioła znajdował się przysiółek Błotnia. Nieco dalej wsie: Wilamowa, Lubiatów, Ligota Wielka, Sarnowice i Frydrychów.

Ziemie te przynależały do Republiki Weimarskiej. Zamiesz-

kiwali je Polacy i Niemcy, a wiele miejscowości miało dwujęzyczne nazwy.

Egzystencja w pobliżu rzeki obarczona była ryzykiem. W czasie wiosennych odwilży lub ulewnych deszczy mętna woda spływała z pagórków, nurt strumyków przybierał na sile, rzeka występowała z brzegów, a żywioł niszczył wszystko, co napotkał na drodze. Zalewał pastwiska, uszkadzał trakty, zrywał mosty i wdzierał się do piwnic.

Za wioską, na pagórku – w bezpiecznej odległości od rzeki, znajdował się cmentarz. Chowano na nim zmarłych z okolicznych sołectw. Do miejsca wiecznego spoczynku przylegał dom grabarza. W oknach budynku tkwiły popękane szyby, a z dachu zwisały pordzewiałe rynny. Na frontowej ścianie widniał napis: FRIEDHOF-CMENTARZ oraz przymocowana była tabliczka z numerem 1.

Zza budyneczku wychylały paskudne facjaty szopki. Sad i grządki warzywne ogradał płotek ze zbutwiałych sztachet. Przy murze cmentarza i ścianach budynków rosły sumaki, dziki bez, krzaczaste żywokosty i rozłożyste blekoty.

## 2

Ojciec Reinholda był pomocnikiem murarza, matka – sprzątaczką w szpitalu. Para małżeńska mieszkała ze swoją pociechą w obskurnym lokum w miasteczku Kórnik. Oboje rodzice zmarli na tyfus plamisty, gdy ich dziecina miała cztery latka.

Krewni ojca jak padlinożerne sępy rzucili się na majątek i go rozgrabili. Reinholda uznano za balast. Chodził w podartych portkach, karmiono go resztkami i pojono zlewkami. W końcu oddano go do sierocińca.

W schronisku obowiązywały niepisane reguły. Rządzili star-



si i silniejsi. We wrażliwym dziecku zabijano człowieczeństwo i brutalnie dławiono próby oporu. Dokuczano mu, drwiono, pluto w twarz i zlecano wykonywanie najpodlejszych prac. Szarpano go za włosy i okładano pięściami. Złamano mu przy tym nos, żebra oraz wybito zęby. Wszystko to było dla niego źródłem upokorzenia. Stał się odludkiem i zamknął w sobie. Cierpiał w milczeniu. Głęboko skrywał urazy. Myślał, że oszaleje, był bliski wybuchu szału. Miewał stany depresyjne, rozważał nawet popełnienie samobójstwa. Przetrwał, gdyż z czasem opanował sztukę unikania kłopotów i udawania, że wszystko jest w porządku.

Lęki i poczucie zagrożenia uczyniły w psychice malca straszliwe spustoszenie. Jego duszę z biegiem czasu zdominowała nienawiść i mściwość. Niemoc przekuwał w sadystyczną przyjemność, rozmyślając o tym, w jaki sposób unicestwiłby prześladowców. Kiełkował w nim syndrom zabójcy. Spokojne dziecko przeobrażało się w potwora. Pogodny szkrab z wolna stawał się bestią.

Reinhold był opóźniony w rozwoju. Krótko mówiąc – nauka nie wchodziła mu do głowy. Nie mógł pojąć, dlaczego dwa dodać dwa równa się cztery. Trzy razy powtarzał tę samą klasę. Przez dziesięć lat edukacji nauczył się czytać, pisać jak kura pazurem oraz poznał elementarne zasady matematyki. „Bęcwał!”, „kurzy mózdzek!” „tępak!” – krzyczeli na niego nauczyciele, okładając liniałem lub masywnym cyrklelem.

Gdy Reinhold osiągnął pełnoletniość, kopnięto go w tyłek powiedziano: „do widzenia” i wysłano do magistratu. Kierownik zerknął w dokumenty i skierował chłopaka do prac interwencyjnych w miejscowości Bagno.

Młodzieniec harował od świtu do nocy za marne uposażenie.

Wysługiwano się nim przy najgorszych zajęciach. Wyłapywał z rakarzem bezpańskie psy i koty. Wywoził poza obręb wsi zdechłe zwierzęta, przesiąkając zapachem padliny. Zbierał odchody, zamiatał uliczki, czyścił rowy, wycinał zarośla, a sezonowo najmował się jako parobek, głównie przy żniwach i wykopkach.

Reinhold chodził w łachmanach. Często na bosaka. Drapał się i iskał. Jego ciało pokryły liszaje. Oblazły go pasożyty. Rozchodził się od niego nieprzyjemny zapach. Traktowano go jak parszywego kundla. Przeganiano z miejsca na miejsce. Rzucano mu ochłapy. Spał, gdzie popadło: na stryszkach, w stodołach i stajniach.

Pewnego dnia proboszcz zaprosił go na plebanię, poczęstował winem i zaproponował mu posadę grabarza. Etat był do objęcia od zaraz, gdyż poprzedni opiekun cmentarza zapił się na śmierć. Reinhold po kilku łykach gronowego trunku mlasnęła, oblizał spieczoną wargę i wyraził zgodę. Kulfontastym podpisem parafował umowę. Kleryk zatarł dłonie z zadowolenia, ponieważ nie miał innego kandydata na to stanowisko.

Reinhold zamieszkał w przycmentarnym domu. Sam jak palec. W pobliżu granitowego krzyża, grobowców i mogił. Towarzyszyła mu samotność i pustka. Od wiejskich zabudowań dzielił go kilometr.

Grabarz utrzymywał porządek na cmentarzu oraz kopał doły. Czasami na prośbę właściciela zakładu pogrzebowego mył ciała nieboszczyków i przebierał ich w czyste ubrania. Na ustach młodzieńca rzadko gościł uśmiech. Przy pracy nie odstępowała go czerń, ludzka rozpacz, a styczność ze zwłokami spowodowała, że przesiąkł trupim odorem.

Mijały lata. Reinhold wydorósł. Jego przygarbiona postać i ponura twarz kojarzyły się ludziom z trollem. Złowrogo błysz-

czały mu ślepia. Wokół niego kręciły się bezpańskie psy. Schodzono mu z drogi, a matki widząc go, żegnały się i wołały po ciechy do domu.

Niepogodzony z samym sobą, z popękaną duszą, pełen wewnętrznych sprzeczności wegetował i wiódł bezcelowe życie. Bez przyjaciół i wzniosłych ideałów. Sposępniał, zdziczał i odseparował się od społeczeństwa. Zaszył się pomiędzy grobami. Kontakt z ludźmi ograniczał do asyst przy pogrzebach, zakupów i dyskretnych odwiedzin prostytutki.

No proszę! Zaskoczenie?! O, tak! grabarz był łasy na damskie pośladki. Pociąg do kobiecego ciała mógł go nawet zaprowadzić... na stryczek?

Mężczyzna niedojadał, odkładał każdego feniga, po czym z zaoszczędzonymi markami udawał się do prostytutki. Okoliczni chłopci nazywali ją Cycata Kunegunda. Kobieta miała tak wydatny biust, że jej staniki z powodzeniem mogłyby służyć przedszkolakom za namioty. Reinhold przekazywał Niemce umówioną kwotę, miętolił jej piersi, pieścił fałdy tłuszczu i zagłębiał się w gorące czeluści. Po miłosnym akcie nie mógł się nadziwić, że za tak długo ciułane pieniądze doświadczał tak krótkiej chwili rozkoszy.

Pewnego dnia na pobliskiej szosie wydarzył się tragiczny w skutkach incydent. Pod kołami ciężarówki zginęła kobieta. Kiedy na miejscu wypadku pojawiła się rodzina, jeden z gapiów doradził im, aby zwłokami zajął się Reinhold.

Nieoczekiwani przybysze wnieśli zmarłą do przycementarnej kaplicy. Pełniła ona funkcję domu pogrzebowego i kostnicy. Za przygotowanie zwłok do pochówku zaoferowano grabarzowi sowitą zapłatę.

Rodzina pojechała po trumnę i czyste ubranie, a Reinhold przystąpił do dzieła. Przyniósł miskę z wodą, mydło i gąbkę. Ułożył dziewczynę na stole i zdjął z niej zniszczone ciuchy. Umył włosy, usunął z ciała krew, przypudrował lica, a w nozdrzach i uszach umieścił waciki. Praca sprawiała mu przyjemność. Ciało było jeszcze ciepłe, a kończyny zginały się w stawach.

Spojrzał na nieboszczkę i odniósł wrażenie, że dziewczyny go kusi?! Zamknął drzwi na rygiel i zbliżył się do nieżywej. Położył dłonie na stygnącym ciele. Pod opuszkami palców wyczuł sutki i aksamitną skórę.

Raptem zamarł w bezruchu! Odniósł wrażenie, że dziewczyna zatrzepotała rękami. Czyżby mu się przyglądała? Przyłożył dłoń do ust kobiety, przytrzymał, potem odskoczył od ciała.

„Co zamierzałeś?! Podlec! Zboczeniec!” – wyzywał samego siebie w myślach. Wyrzucał sobie, że jest potworem i fetyszystą, że nie potrafi zapanować nad zwierzęcymi popędami. Osunął się na kolana, rwał włosy z głowy i walił czołem o zimną posadzkę.

Gdy oprzytomniał, rozejrzał się po kostnicy. Przez zakurzone okienko wpadały promienie słoneczne. Złociste pasemka rozjaśniały wnętrze. Wzrok grabarza zatrzymał się na zawieszonym pod sufitem krzyżu. Dłonie Chrystusa były przygwożdżone do szorstkiej poprzeczki. Z ran sączyła się krew. W wyrazie twarzy Syna Bożego dostrzegał potępienie. Odniósł wrażenie, że do niego przemawia:

– Wydaje ci się, że pozwoliłem ukrzyżować się dla własnej przyjemności. To nie gwoździe przytwierdziły mnie do drewna, lecz człowiecze grzechy. To nie gwoździe trzymają mnie na krzyżu, lecz człowiecze winy. Potępiam cię za twoje nikczemne

myśli! Przepadnij! Szeźnij! Dla takich jak ty nie ma miejsca na Ziemi. Jesteś zwierzęciem w ludzkim ciele. Twe serce zmieniło się w bryłę lodu, a dusza obumarła.

Reinhold zastygł w bezruchu. Po chwilowym szoku przyszło otrzeźwienie. „Miałem przywidzenia? Słyszałem coś, co nigdy nie zostało wypowiedziane. Opanuj się, głupcze!” – pomyślał.

Kiedy członkowie rodziny wrócili po zwłoki, nie mogli się nadziwić, że poszło mu tak sprawnie.

– Dobra robota. Należy ci się premia – chwalili, klepiąc go po plecach.

Ciało dziewczyny zostało przyodziane w czyste ubranie i znalazło się w trumnie. Na twarzy kobiety malował się spokój, lica się rumieniły, a po wargach błąkał się uśmiech. Tylko oczy nieboszczki, ukryte pod zamkniętymi powiekami, wyrażały przerażenie.

Reinhold odniósł wrażenie, że nedorzeczne pokusy wryły piętno na jego wstrętnej twarzy. Nękały go nocne mary, nawiedzały upiory. Przed jego oczami przesuwwały się zamglone obrazy.

Zło nie spało. Diabeł kusił. Pewnego sierpniowego popołudnia wybrał się na spacer. W powietrzu rozchodził się zapach dojrzewającego zboża. Podążał polną dróżką. Wszedł pomiędzy poletka kukurydzy. Czuł się tak, jakby znalazł się w odnodze labiryntu – wysokie, zdrewniałe łodygi ocierały się o siebie, z dojrzewających kolb wystawało włosie.

Nagle stanął jak wryty. W jego kierunku podążała dziewczyna. Wysoka, szczupła, blond włosy. Najprawdopodobniej turystka, gdyż na ramionach miała plecak. Zatrzymali się przed sobą. Twarzą w twarz. Tylko on i ona. Odgradzeni od ludzkich oczu wysokim parawanem. Gładkolica dziewczyna i kościsty

mężczyzna. Mierz yli się wzrokiem. W oczach kobiety pojawił się strach. Pocz uła oddech Śmierci na licach. Odwróciła się i zaczęła uciekać. Reinhold stracił nad sobą kontrolę.

– To ja ci ją zesłałem. Zaprzedaj mi swą duszę, a się z nią zespolisz – kusił go Szatan.

– Bierz – odpowiedział stłumionym głosem.

Rzucił się na kobietę jak krwiożercza bestia. Ta umierając, popatrzyła na niego zdziwionym wzrokiem.

Zwłoki ukrył w kukurydzy, a nocą przeniósł na cmentarz i wrzucił do dołu. Kilka dni lało, a on cieszył się, że strugi deszczu zacierają ślady.

Policja i ochotnicy szukali zaginionej. Pytali Reinholda, czy nie widział blondynki z plecakiem. Grabarz udawał nierozgarniętego. Wzruszał ramionami.

– Nie. Gdzieżby. Na tym odludziu? – odburknął.

### 3

Rachela mieszkała w zabitej dechami wiosce pod Kielcami. Chałupa była usytuowana na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na Łysą Górę. Czasami dziewczynie wydawało się, że nad jej głową przelatują czarownice.

Rodzinę żywiła jałowa ziemia. Bieda aż piszczała. Rachela była bita, znieważana, wyzywana od najgorszych i wykorzystywana seksualnie przez ojca. Pewnego dnia powiedziała „dosyć!” i uciekła od biedy, rodzica zboczeńca i zastraszonej matki. Wsiadła do pociągu i dotarła nim do Otmuchowa. Nikt jej tutaj nie znał, nikt nie miał pojęcia o jej pochodzeniu. Błyskawicznie wtopiła się w tłum.

Rachela miała ogromne aspiracje. Dla poprawy bytu i wyrwania się z ubóstwa gotowa była wiele poświęcić. Nawet

zszargać swoją reputację. Dbała o siebie, ubierała się gustownie i uśmiechała zalotnie. Zakładała spódniczki, rozpiniała bluzeczki i eksponowała piersi. Flirtowała i umawiała się na randki. Chodziła z młodzieńcami do kawiarni i kina. Odwiedzała cukiernie. Lubiła miło spędzać czas i korzystać z uroków młodości. Pragnęła bawić się i używać życia. Przybywało jej adoratorów. Ona jednak nie zadawała się z plebsem, tylko z elitą. Jej wdziękowi nie oparł się nawet komendant policji.

Korzystając z protekcji wpływowych kochanków, znalazła pracę gosposi u księdza we wsi Bagno. Była to intratna posada, dzięki której nie tylko otrzymywała pensję, ale też miała zapewniony dach nad głową.

Ach, te chlupy! W głowie im tylko jedno. Nawet podstarzałego proboszcza interesowały kobiece wypukłości. Kapłan uwielbiał pagórkowaty teren. Rekonesans w pobliżu wzgórzka łonowego był dla niego ważniejszy niż obiad.

Rachela droczyła się z duchownym, odtrącała jego zaloty, by w końcu dojść do wniosku, że to nic zdrożnego raz w tygodniu przespać się z pryncypałem. Ksiądz był czysty, rumiany na twarzy i nie zmuszał jej do wyuzdanego seksu. Mało tego, po igraszkach potrafił być naprawdę hojny.

Stosunki cielesne mają jednak to do siebie, że zdarzają się wypadki. Z plemnikami nie ma żartów. Mikroskopijne urwisy są cwane i potrafią ominąć najwymyślniejsze przeszkody. Tak też było w ich przypadku. Pomimo że uprawiali stosunek przerywany, zabezpieczali się i dziewczyna sprawdzała kalendarzyk, to i tak zawiązała się zygota.

Skończyła się sielanka – zaczęły się przepychanki. Skończyła się idylla – zaczęły się wymówki. Atmosfera stawała się coraz

bardziej napięta. Proboszcz obwinał Rachelę o to, że kochała się w nim w dni płodne. Ta zarzucała mu, że nie był ostrożny.

Ksiądz wpadł w panikę. Skubał brwi, drapał się po brodzie i obgryzał paznokcie. Podskoczyło mu ciśnienie. Pulchne lica przybrały trupioblady odcień. Patrzył na Rachelę, jakby jej nie widział, szeroko otwartymi ustami łapał powietrze. W pewnym momencie przerosły go emocje, ugięły się pod nim kolana i chwycił się oparcia krzesła. Wszystko stracone! Za dwa lata miał zostać biskupem. Czyżby z planów nici?! I to przez niesforny spermatozoid, który wdarł się do komórki jajowej.

Rachela oświadczyła stanowczo, że nie usunie ciąży! Duchowny straszyl, kłął i obiecywał sporą sumkę za dokonanie skrobanki. Bez rezultatu. Kobieta była nieugięta. „Dobry Boże, w tobie nadzieja! Pomóż!” – modlił się w myślach.

Czas naglił. Lada moment mógł wybuchnąć skandal. Proboszcz nie spał po nocach i rozmyślał. W końcu wpadł na niedorzeczny pomysł. Najpierw odwiedził Reinholda, a potem poprosił na rozmowę gospozię.

– Nie becz, głupia! Osusz oczy – zwrócił się do łkającej dziewczyny, podsuwając jej chusteczkę. – Zrobimy tak: przeniesiesz się do domu grabarza i urodzisz dziecko. Oficjalnie ojcem maleństwa będzie Reinhold. Pokryję koszty utrzymania i edukacji potomka. Przyrzekam ci: będę dobrym rodzicem. Może z boku, ale takie są realia. Nie możemy mieć wszystkiego. Zrozum, skandal nie jest nikomu na rękę. Jak to się rozniesie, to mnie wydalą z kleru, ty zostaniesz wyklęta, a nasze dziecko zabiorą do sierocińca. Ktoś je adoptuje i stracimy z nim kontakt. Czyżbyś chciała tego?!

Mężczyzna mówił sensownie. Kobieta mu zaufała. Argumenty ją przekonały. Zawarli nieformalny układ. Dziecko z fi-



nansowym wsparciem duchownego miało szansę na przyzwoite życie.

Rachela pracę na plebani i dogadzanie księdzu uznawała za wstęp do zbiccia fortuny. Kiedy zaszła w ciążę, ogarnęła ją obsesja, aby wykształcić dziecko na medyka. Postanowiła, że jeśli urodzi córkę, wyuczy ją na internistkę, a jeżeli powije chłopaka – na chirurga. Aby zrealizować tak ambitne plany, potrzebne jej były fundusze. Myszkowała więc w kościele, na plebani i w pokojach proboszcza. Szybko odkryła, gdzie ksiądz trzyma złote kielichy, patery, diademy i monstrancje. Za obrazem świętego Bartłomieja odkryła sejf, a w piwnicy – skrytkę. Tą ostatnią otworzyła wytrychem. Znajdowała się w niej biżuteria, złote i srebrne monety oraz obca waluta. Najwięcej było dolarów.

Rachela dokonała inspekcji domu i doznała szoku! Mężczyzna, z którym miała zamieszkać, wyglądał na brudasa i mruka. W pomieszczeniach cuchnęło. Ściany korytarza pokryte były pleśnią. W pokojach królowały szafy bez drzwi. W kuchni – leżanka z wytartą powłoką i krzesła na chyboliwych nogach. Jedno z nich opierało się na trzech kikutach. Po kątach walały się brudne buty. W powietrzu krążyły muchy, po posadzce pełzały karaluchy, na strychu baraszkowały myszy, a w pajęczynach czaiły się długonogie straszyska. Zabrudzone szyby nie przepuszczały światła, firanki lepiły się od brudu i śmierdziały papierosowym dymem. Na stole zalegał stos niemytych garów.

Przed wejściem do domu rósł krzak czarnego bzu, w którym ptaszek uwił sobie gniazdko. Nad studnią z kołowrotem pochylał się dziurawy daszek, oparty na zbutwiałych palach. Nieopodał ujęcia wody znajdował się sklecony z desek wychodek.

„Co za rudera? Śmierdzi jak w chlewie. Tfu, zaraz zwymiotuję! Trzeba jak najprędzej uprzątnąć ten bałagan. Mam nadzie-

ję, że wytrzymam tutaj kilka miesięcy? Jak dziecko podrośnie, uciekam stąd jak najdalej!” – pomyślała Rachela.

Uradowany proboszcz potrząsnął kiesą. W korytarzu zamontowano ręczną pompę do tłoczenia wody, a jedno z pomieszczeń zaadaptowano na pralnię. Przedłużył Reinholdowi umowę o pracę i podwyższył jego uposażenie. Grabarzowi przysługiwało także prawo uprawy pół hektara ziemi.

Dziwna była z nich para. On był Niemcem, ona – Żydówką. On miał dwadzieścia pięć lat, ona – dwadzieścia dwa. On był zaniedbany i smutny, czasami wybuchowy, ona – wypielęgnowana i radosna. On stronił od ludzi, ona się do nich garnęła. On zrażał do siebie bliźnich, ona ich zjednywała.

Rachela spała w pokoiku, Reinhold – na leżance w kuchni. Dzieliła ich zaledwie ściana.

Dziewczyna czuła się nieswojo w pobliżu grabarza, który wodził za nią wygłodniałym wzrokiem. Wyszorowała posadzki, umyła okna i wykrochmaliła firanki. Przygotowywała posiłki i prała ciuchy. Zasugerowała grabarzowi, aby obciął skołtunione włosy oraz mył i golił się każdego dnia. Do tej pory mężczyzna robił to tylko w soboty.

Reinhold przechodził katusze. Jego spokój został zakłócony. W domu nastały nowe porządki. Koniec z ćmieniem papierochów w kuchni i łażeniem po pokojach w zabłoconych butach. Jednak najbardziej zaniepokoił go fakt, że nie był już panem na włościach. To Rachela, za przyzwoleniem proboszcza, przejmowała nad nim kontrolę.

Kobieta wydawała mu się bóstwem. Długie kruczoczarne włosy spływały na jej ramiona. Mięśisty nos dodawał urody. Różowe wargi kusily, aby się do nich przyssać. Emanowała ko-

biecością. Poruszała się z gracją. Rozbierał ją w myślach i wyobrażał sobie, jak by to było.

Każde z nich chciało ugrać coś dla siebie. On pragnął kobiecego ciała, ona marzyła o zniewoleniu prostego mężczyzny.

Reinhold, obawiając się gniewu księdza, nie zbliżał się jednak do Racheli. Ten bowiem nakazał mu wstrzemięźliwość aż do porodu. Był to kluczowy punkt ich umowy. Duchowny obiecał grabarzowi, że z chwilą uznania dziecka, odda mu dziewczynę.

– Boże, dodaj mi sił – szeptał do siebie.

Czekały go bezsenne noce. Atrakcyjna kobieta równała się pokusie. Jak długo wytrwa? Czy utrzyma w ryzach niesformne żądze?

Rachela doszła do wniosku, że musi być rozsądna. Na razie fortuna jej sprzyja, ale kto wie, co przyniesie przyszłość? Lepiej mieć w pobliżu sprzymierzeńca. Dziecko będzie potrzebowało opiekuna, a nie wroga. Żydówka dolewała zatem Reinholdowi do jedzenia uspokajających kropeł. Doprawiała sosy i potrawy melisą, bromem, sproszkowanym korzeniem waleriany oraz wywarem z szyszek chmielu i makówek. Pewnego dnia Reinhold został zaskoczony stawką, jaka znalazła się w puli. Tak wysoką, że nie potrafił jej przebić.

– Mieszkamy razem, a nic o sobie nie wiemy. Pozwól, że opowiem ci historię mojego życia. Wychowałam się we wsi Badziewie. Ił, glina i piasek. Rodzice siali owies i sadzili ziemniaki. Trzymaliśmy krowę i stado owiec. Za domem znajdował się sad i brzozy lasek. Harowałam od świtu do nocy. Byłam bita i poniżana, cierpiałam katusze. Matka okładała mnie miotłą, brat ciągnął za włosy, a ojciec wkładał mi dłonie w majtki. Zebrałam się na odwagę, uciekłam i znalazłam się tutaj. Moje

szczęście nie trwało jednak długo. Tacy ludzie jak ja są chyba skazani na porażkę – mówiła, dyskretnie go obserwując. Wyraz twarzy mężczyzny utwierdzał ją w przekonaniu, że wkrótce owinie go sobie wokół palca.

Reinhold patrzył na nią ze współczuciem. „Biedna dziewczyna. Los ciężko ją doświadczył. Obdarzyła mnie zaufaniem. Gdyby wiedziała, jaki ze mnie zwyrodnialec” – pomyślał.

– Zawrzyjmy układ. Jeżeli spełnisz postawione przeze mnie warunki, dostaniesz nagrodę. Będziemy od czasu do czasu spali w jednym łóżku. Jak mąż i żona. Musisz jednak sobie na to zasłużyć.

Reinhold wybałuszył oczy, myśląc, że się przesłyszał.

– Kiedy? – wybełkotał, klękając i całując jej stopy.

„Mam go pod kontrolą. Jednak za szybko mu się nie oddam. Jeszcze pomyśli, że jestem kobietą lekkich obyczajów”.

– Nie chcę ci niczego narzucać, ale jeżeli zamierzamy egzystować w tej paskudnej norze, to musimy się zorganizować. Na wiosnę posadzimy ziemniaki i warzywa, zadbamy o drzewka owocowe. Założymy pasiekę. Będziemy mieli miód, wosk i propolis. Wstawimy do pralni muszlę klozetową. Kto to widział, żeby za potrzebą udawać się na podwórze! Co zaś tyczy się ciebie, to myj się regularnie, obetnij paznokcie i wyczyść zrogowaciały naskórek. Zanic na świecie nie położę się do łóżka z takim niechlujem – powiedziała do niego z naganą w głosie.

Reinholdowi błyszcząły oczy.

– Kiedy... no wiesz?

– Może już za miesiąc.

– A proboszcz? – wybełkotał.

– Chyba mu się nie pochwalisz?! Nie płaciłby mi umówionej kwoty, a tobie odebrał pole i obniżył pensję. Co cię obchodzi ten

nadęty klecha?! Gra świętego, a dobierał się do mnie przed figurą Matki Boskiej. Zrobił mi dzieciaka i namawiał, żebym się go pozbyła!

Po mistrzowsku prowadziła grę słów. Wszystko układało się po jej myśli.

Przed Bożym Narodzeniem przebrała pościel i zaprosiła Reinholda do łóżka. Był to prezent na Gwiazdkę. Kiedy mężczyzna się rozebrał, jej oczom ukazało się wychudzone ciało. Wystające żebra przypominały tarkę do prania.

Od tej chwili grabarz kochał się z Żydówką dwa razy w miesiącu. Rachela obiecała, że po porodzie będzie mu jeszcze bardziej przychylna.

W kwietniu 1926 roku Rachela powiła dziewczynkę. W metryce urodzenia widniała data narodzin, imię: Helga, nazwisko: Medres (po matce), w rubryce ojciec: Reinhold Gruber, obywatelstwo: polskie i niemieckie.

Niestety ambitne plany Żydówki szybko wzięły w łeb. Helga była chorowita. Łapały ją bezdechy, męczyła epilepsja. Rachela przeklinała księdza – niby rumiany, dobrze odżywiony, a jego nasienie było nic nie warte. Postanowiła działać. Reinhold był w siódmym niebie. Rachela codziennie się z nim kochała. Wkrótce ponownie zaszła w ciążę.

– Będziemy mieli dziecko. Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę! Jest jednak pewien problem. O ciąży nikt nie może się dowiedzieć. Wkrótce umrze córka proboszcza. Wiem to, bo konsultowałam się z lekarzem. Po jej śmierci wyjadę. Jeśli urodzę dziewczynkę, przejmie ona tożsamość Helgi – przekonywała mężczyznę do swoich racji.

Początkowo grabarz się ucieszył – zostanie ojcem! Jednak po kilku dniach dotarła do niego okrutna prawda – Rachela opu-

ści go i to na długo. Czas spędzony z Żydówką zaliczał do szczęśliwych. Wyciszył się i nie miał już morderczych myśli.

Kobieta działała na kilku frontach. Wymusiła na księdzu, aby ten przepisał na nią przycmentarny dom i przylegającą do niego działkę. Kiedy proboszcz protestował, postraszyła go, że złoży na niego skargę w kurii. Przyparty do muru klecha podpisał dokument, chociaż zdawał sobie sprawę, że jednoosobowo parafowane oświadczenie jest nic nie warte.

Wkrótce niemowlę wyzionęło ducha, a grabarz pochował je w bezimiennej mogile.

Żydówka oznajmiła proboszczowi, że wyjeżdża z córką do kliniki. Spakowała walizki, pocałowała w policzek Reinholda i poinformowała go, że po narodzinach dziecka zjawi się u niego posłaniec.

Z imitującym niemowlę zawiniątkiem na rękę, podpisanym przez proboszcza dokumentem w kieszeni i dolarami w pularesie udała się na stację kolejową w Nysie. Tam wsiadła do pociągu i odjechała nim w siną dal.

#### 4

**M**inęło kilka miesięcy. Nadszedł marzec 1927 roku. W wąską kamienistą drogę wjechał kurier. Minał tabliczkę z nazwą miejscowości i zatrzymał się przed bramą przycmentarnego domu. Sprawdził adres. Zgadzało się. Na kopercie widniało: Bagno 1.

Posłaniec nie miał pojęcia, że za moment czekają go tak traumatyczne przeżycia, iż z pewnością zapamięta je do końca życia. Z szopki wyłonił się mężczyzna. Monstrum?! Frankenstein?! Na policzkach osobnika widniał kilkudniowy zarost, a jego oczy ciskały mordercze gromy. W dłoni trzymał siekiere.

W pierwszej chwili goniec zamierzał czmychnąć. Zwyciężyło w nim jednak poczucie obowiązku.

– Czego? – warknął grabarz, potrząsając toporkiem. Na ostrzu błyszczała świeża krew. Grozy sytuacji dodawał fakt, że do nóg gospodarza łąsiły się wilczury.

– Przybywam z wiadomością – wydusił posłaniec.

Mężczyzna poprawił włosy. Od kiedy wyjechała Rachel, popadł w rodzaj letargu. Nie dbał o siebie, nadużywał alkoholu i uroił sobie, że kobieta, z którą związał go los, przyprawia mu rogi. Widząc przystojnego gońca, zawrzał z gniewu, myśląc, że to jej kochanek. Zbliżył się do niego, złapał za kurtkę i zamierzył się toporkiem.

– Zabiję! Poćwiartuję! Wilczury odgryzą ci jaja! Potem twe nędzne szczątki wrzucę do dołu. Gdzie ona jest?! Gdzie się ukrywa?! – pytał zaczepnie.

Śmiertelnie wystraszony młodzieniec złapał go za dłonie.

– Oszalał pan?! Mam przesyłkę – wyksztusił z zaciśniętej krtani.

Reinhold otrzeźwiał.

– List od Racheli?

– Nie mam pojęcia, od kogo. Moim zadaniem jest go doręczyć. Proszę pokwitować – wydusił płaczliwym głosem.

Reinhold ujął w zakrwawione dłonie kopertę. Odłożył na bok siekierę, którą przed chwilą uciął łeb kurze. Z zapisanej drobnym pismem kartki odczytał: „*Córka ma się dobrze. Przyjadę za dwa i pół roku. Wytrzymaj. Rachel*”.

Reinhold osunął się na kolana.

– Boże, dziękuję ci. Córka przedłuży mój ród. Może doczekam się wnuków. Rachelo, wróć, bo nie wytrzymam! – wyszeptał z nutką boleści w głosie.

Świadomość, że spłodził potomka, napawała go dumą. Ożywił się i odzyskał radość życia. Podśpiewywał pod nosem. Gromadził opał, uprawiał warzywa, przycinał drzewka, doglądał kóz i wybierał miód. Kupił dwa szklane gąsiory, wypełnił je moszczem i robił wino.

Po kilku miesiącach samotności znów dopadła go jednak depresja. Jednego dnia tęsknił i modlił się o to, żeby ukochana wróciła, innego wpadał we wściekłość, nazywał ją dziwką i przyrzekał sobie, że ją zabije. Prowadził z samym sobą burzliwe dyskusje. Mamrotał pod nosem. Krzyczał i gestykulował. Wałęsał się z kąta w kąt, jakby mu czegoś brakowało. Wybrał się nawet do Cycatej Kunegundy, aby rozładować napięcie, lecz spotkał go srogi zawód. prostytutka przebywała w szpitalu z powodu trypra.

Opanowywały go demony. Zwierzęce popędy przybierały na sile. Natura domagała się zaspokojenia wynaturzonych żądz. Grzeszne myśli wypełniały duszę. W głowie kielkowały chorowite pomysły. Zawód, rozgoryczenie i poczucie samotności popychały go w ramiona Zła. Walczył ze sobą, ale w pobliżu nie było nikogo, kto zawróciłby go ze zbrodniczej ścieżki.

Nocami wymykał się z domu i wtapiał w mrok. Wsiąkał w opary mgły. Przemykał jak cień. Pędził przez zagony, ścierniska, podmokłe łąki i polne dróżki. Przedzierał się przez powoje i bluszcze, zaplątywał w cierniach i jeżynach, potykał o pnie, brodził w błocie i ukrywał się w krzakach. Robił rekonesans. Czaił się i węszył. Podkradał się pod chałupy samotnych niewiast i zaglądał w okna. Ślinił się i oblizywał wargi, obserwując, jak się myją. Poznawał ich zwyczaje. Robił selekcję. Wybierał ofiarę. Padło na czterdziestopięcioletnią wdowę.



Wkrótce natknął się na przeszkody. Chatka kobiety miała solidne drzwi, a w oknach tkwiły kraty. Na dodatek po obejściu kręciły się psy. Podjął jednak wyzwanie. Nawet się ucieszył. Skończyła się nuda. Nie rzucał się w oczy, unikał ludzi. Przygotowywał się do ataku. Zaopatrzył się w truciznę, upłócił postronek i naostrzył nóż.

Czekał na dogodny moment. Postanowił, że dokona napadu w niedzielny poranek. Wiedział już bowiem, że wdowa przed pójściem do kościoła otwierała kurnik i doła kozy. Po kilku dniach porzucił jednak ten zamysł, obawiając się, że absencja kobiety na porannej mszy wzbudzi podejrzenie. Plan wymagał korekty, dopracowania – szczypty improwizacji.

W międzyczasie przeprowadzał próby. Nasączone trutką mięso podrzucił bezpańskiemu psu. Kundel po kilku minutach zdechł. To utwierdziło go w przekonaniu, że toksyna jest skuteczna.

Nadeszła jesień. Drzewa zrzucały pożółkłe liście. Krzewy wyglądały w ciemnościach jak kleksy atramentu. Niebo przysłoniły ołowiane chmury. Siąpił deszcz. Kołysały się drzewa. Podmuchy wiatru pochylały pędy roślin do ziemi.

Reinhold uznał, że nadeszła odpowiednia chwila. Teraz! Był przygotowany. W futerale tkwił nóż, w kieszeni kurtki znajdował się postronek z „oczkiem”. Założył ciemne ubranie, naciągnął na głowę kominiarkę i wtopił się w smolistą czern.

Szedł pewnym krokiem, cicho, wręcz bezszelestnie. Jak wytrawny drapieznik poruszał się pod wiatr. Dotarł do strumyka. Wartko płynąca woda bulgotała. Podążył w dół strugi. Rwący nurt obmywał mu nogi. Deszczówka wlewała mu się za kołnierz, w butach chlupotało. Potykał się o kamienie, chłostały go wierzbowe różgi, bicze wodne smagały twarz. Kolce krzewów

rozdierały odzież. Wiatr gwizdał w uszach i przewiewał go na wskroś.

Zbliżył się do domku, przykucnął przy płotku i wyteżył wzrok. Jego sercem targały jednocześnie lęk i podniecenie. Wokół żywego ducha. Słysząc było tylko szum ulewy. Okna chatki były ciemne – najwidoczniej kobieta położyła się spać.

Wichura jęczała i wyła tak, jakby domagała się ofiary. Podmuch powietrza uderzał w struny natury, wyzwalając z nich żalosne tony. Deszcz zelżał, a blady sierp księżycy wychylił się zza chmur.

Reinhold rzucił w poblizze budy zatrute mięso. Pies wyszedł z kryjówki i połknął przynętę. Rozległ się pomruk. Czworonóg nastawił uszu i chwiejnym krokiem skierował się do schronienia. Nacierała burza. Grzmiało raz po raz. Niebo rozświetlały zygzakowate błyskawice. W powietrzu było czuć zapach saletry. W oknach chatki zamigotało światełko. Kobieta uchyliła firankę i przybliżyła twarz do szyby. Reinhold przykucnął, uważnie ją obserwując. Poczul pożądanie, a krew zaczęła żwawiej krążyć w jego lędźwiach.

Otworzył stajenkę i wygonił kozy. Kobieta, zobaczywszy zwierzęta na zewnątrz, narzuciła na siebie płaszcz. Naciągnęła na głowę kaptur, odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. W jednej dłoni trzymała świecę, drugą ochraniała płomień.

Reinhold czaił się za gankiem. Zegar na kościelnej wieży wybijał właśnie północ. Jakieś ptaszysko zerwało się z konara i wzbiło w górę z wróźebnym skrzekiem. Grabarz przełknął ślinę, zbliżył się do kobiety i zarzucił jej pętlę na szyję. Miał szczęście, że drugi pies był przerażony grzmotami i został w kuchni.

Kobieta wypuściła z dłoni świecę. Rozlał się stopiony wosk, zasyczał knot, płomień zgasł. Ofiara znalazła się w szponach drapieżcy. Wdowa próbowała włożyć dłoń pomiędzy krtań a powróż, aby nie dopuścić do zadławienia. Napastnik powalił ją jednak na ziemię, położył na plecach nogę i naprężył postronek. Pętla się zaciskała, kobieta się dławiła, a jej oczy zachodziły mgłą. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła przed utratą świadomości, były snopy iskier i wpatrzone w nią błyszczące ślepia. Wydawało jej się, że z nozdrzy napastnika buchają płomienie, a z paszczy wydobywają się kłęby dymu. Poczula swąd palonych piór wymieszanych z siarką i zapadła w nicość.

Reinhold był spragniony. Wdowa nie miała na sobie bielizny, co ułatwiło mu sprawę. Szybko osiągnął rozkosz – doznał ekstazy. Wył jak wilkołak podczas pełni księżyca. Przyszło na niego uwolnienie, zeszło z niego napięcie.

Podniósł się z ziemi i rozejrzał dookoła. Popuścił pętlę, zarzucił ciało ofiary na plecy i oddalił się z miejsca przestępstwa. Poruszał się z trudem. Na rozmiękłym gruncie rozjeżdżały mu się nogi. Potknął się niezliczoną ilość razy, przewrócił i wpadł w kałużę. Wszedł do wody. Poruszał się strumykiem pod prąd. Mętna woda pieniała się i stawiała opór. Przystanął i nasłuchiwał. „Jęk?! Czyżby?” – pomyślał. Zdjął z ramion kobietę i zanurzył jej głowę w strudze. Na powierzchni wody ukazały się pęcherzyki powietrza.

Kiedy dowlókł się do cmentarza, był cały obolały. Podczas eskapady podrapał sobie twarz, zdarł skórę z kolan i rozbił czoło. Wrzucił ofiarę do dołu i przysypał ziemią. Pracował bez wytchnienia. Zacierał ślady. Mruczał z zadowolenia, widząc, że natura ponownie mu sprzyja. Ulewa rozmyje i zatrze resztę tropów.

Otworzył drzwi domu i poczłapał do kuchni. Poruszał się po omacku. Zrzucił zabłocone buty, zdjął mokre ciuchy i ułożył je na rozciągniętej na podłodze folii. Nagie ciało pokrywała gęsia skórka. Na plecach i klatce piersiowej sterczały kępki włosów. Wstrząsały nim dreszcze. Przebrał się w suche ubranie, a przemoczone wraz z obuwiem zawinął w folię i ukrył w piwnicy. Wczesnym rankiem spali je w piecu. Wyciągnął korek z butelki i pochłoniął jednym haustem litr alkoholu. Otarł usta i zwałił się na łóżko. Misja zakończona. Był potwornie zmęczony, ciążyły mu powieki. Momentalnie zapadł w sen.

We wsi Bagno i ościennych miejscowościach zapanowała trudna do opisania panika. Świętobliwa, czterdziesto paroletnia kobieta przepadła bez wieści! Wyjechała? Rozpłynęła się w powietrzu? Porwali ją sataniści? A może Marsjanie? Domysłem nie było końca. Huczało od plotek. Niewiasta nie miała przecież wrogów, nikomu nie zawadzała.

Zaniepokojeni sąsiedzi wezwali policję. Stróże prawa wyciągnęli z budy zdechłego psa, drugi kundel był uwięziony w domu i wył wniebogłosey. Na podwórzu znaleziono ogarek świecy i chodaki. W grząskiej murawie odcisnięte były podeszwy butów z grubym protektorem. Dziwne – nic nie zginęło. Oczywiście, oprócz właścicielki. Psy podjęły ślad, ale straciły go w pobliżu strumyka Wierzbiec.

Rozpoczęto dochodzenie. Wypytywano ludzi, zbierano informacje. Analizowano każdą poszlakę, donos i anonim. Przesłuchiwano recydywistów i sprawdzano alibi. Próbowano, starano się, lecz nic z tego nie wychodziło. Porównano podobne przypadki z przeszłości i okazało się, że w równie tajemniczych okolicznościach zaginęła w tym rejonie młoda turystka. Wyniki

śledztwa były gorzej niż mierne. Policjanci bezradnie rozkładali ręce. Czyżby obie kobiety... zapadły się pod ziemię?

Reinhold lizał rany. Zadrapania się goiły. Rozbite łokcie i zdarte kolana pokryły strupy. Grabarz wzdrygał się jednak przy najmniejszym szmerze. Bez powodu wpadał we wściekłość. Kopał psy, wyrzucał z domu kota, walił czołem w chropowaty mur.

Nawiedzały go koszmary. Miał halucynacje i przywidzenia. Wiercił się w łóżku i przewracał z boku na bok. Wydawało mu się, że zbliżają się do niego wiedźmy o upiornych kształtach, ze wzdętymi brzuchami, koślawymi nogami i włochatymi odwołkami. Niewiasty o rozwichrzonych włosach i bladych twarzach. W ich wytrzeszczonych oczach było widać obłąd. Cuchnęło od nich padliną. Wyciągały ku niemu zakończone krogulczymi pazurami dłonie.

– Nie unikniesz sprawiedliwości! Nie zaznasz spokoju! Ani teraz, ani po śmierci! Przyjdziemy po ciebie! – skrzeczały przeraźliwie. Zrywał się z łóżka zlany potem i łapał się za głowę. Którejś nocy ukazał mu się we śnie Szatan, wyszczerzył szczerbate zębiska, uśmiechnął się od ucha do ucha i przypomniał mu o zawartym pakcie.

Po tygodniu od zniknięcia kobiety odwiedzili go policjanci. Ich wzrok przenikał go na wskroś. Przewiercali go na wylot jak świdrem. Prześwietlali jego duszę, starając się pokonać zapory i tamy, którymi się otoczył. Wypytywali o zaginioną. Zrobił zdziwioną minę i wzruszył ramionami.

– Mieszkam samotnie. Nikomu nie wadzę. Nawet nie znałem tej kobiety – odpowiadał na zadane pytania.

Stróże prawa sprawdzili mieszkanie i obejście. Reinhold przeżywał chwile grozy. Targały nim wątpliwości. „Może mnie

ktos widzial? Moze cos przeoczyłem?” Pomimo ze spalil powroz, buty i ubranie, to w mogile – na terenie cmentarza, ktorym zarzadzal – znajdowalo sie ciało kobiety.

Gdy odeszli, odetchnal z ulga i zwalil sie na podloge. Przez kilka dni pil na umor, chlepcac wino jak spragnione zwierzec. Przynrzel sobie, ze to ostatni raz, ze to sie nie powtorzy, ze sie poprawi i prosil Boga o przebaczenie.

Po kilku tygodniach doszedl jednak do wniosku, ze to nie jego wina. To kobiety prowokuja go do zbrodni. Nazywal je w myslach bezwstydnicami, kusicielkami i diabelskimi pomiotami.

## 5

**M**inela zima, wiosna i lato. Znowu krolowala jesien. Zyciodajne soki splywaly do korzeni. Liście plonely zywyymi kolorami: zlocistymi, zoltymi i krwisto purpurowymi.

Mieszkaney wsi polozonych nad Nysa Kłodzka otrzymali urzedowe pisma. Z ich tresci wynikało, ze obszar, na ktorym zamieszkiwali, zostal przeznaczony do zalania. W depresyjnym terenie mial powstac zbiornik zaporowy.

Pojawily sie buldozery i koparki. Sypano waly, drazono kanały oraz budowano zapory, sluzы i tamy. W korycie rzeki wylewano fundamenty pod planowana elektrownie. Rozpoczely sie przesiedlenia, rozbierano domy. Z calej wsi Bagno ocalał tylko cmentarz i dom grabarza.

Byl pazdziernikowy wieczor. Pod brama budynku z numerem 1 pojawila sie kobieta z dzieckiem. Grabarz patrzył na przybyla msciwym wzrokiem. Zastanawial sie, czy wpuszczic ja na posesje. „Ladacznica. Skonczyly sie jej pieniadze, to do mnie wrócila” – pomyslal.

Marsowa mina i ciskające gromy oczy nie wróżyły nic dobrego. Wzrok Reinholda zatrzymał się na dziewczynce. Wydało się mu, że stoi przed nim aniołek. W jego duszy nastąpiła przemiana. Serce zmiękło, lód skuwający jego duszę stajał. Nienawiść zamieniła się w tklivość. Wyraz oczu złagodniał i ukazały się w nich łzy. Córka?! Prześliczna. Ubrana w palto, rajtuzy i kozaczki wygląda jak księżniczka. Pokochał ją od pierwszego wejrzenia.

– Otwieraj i wpuść nas do środka! Jesteśmy zmęczone! – zwróciła się do niego z pretensją w głosie Rachela.

– Zaraz, tylko zamknę psy – wybełkotał. Jego wrogość pękła jak bańka mydlana. Stał się potulnym i podatnym na rozkazy sługą.

Rachela niechętnie tutaj wracała, ale prawdę mówiąc, nie miała gdzie się podziać. Dolary wystarczyły jej jedynie na kilka miesięcy. Duchowny notorycznie spóźniał się z przesyłaniem umówionej kwoty, przez co wpadła w długi. Potem kontakt urwał się i nie otrzymała już ani feniga.

Nie mając środków do życia, zarabiała na utrzymanie dziecka własnymi rękami. Szorowała podłogi, skrobała przypalone gary i sprzątała aptekę. Miała pecha – zazdrosna żona sklepikarza, oskarżyła ją, że uwiodła jej męża. Nazwała ją żydowską dziwką i wyrzuciła na bruk. Opuszczała dom pracodawcy z poczuciem klęski i kilkoma buteleczkami skradzionych leków. Były wśród nich środki uspokajające, tabletki nasenne i trucizny.

Przez jakiś czas tułała się po schroniskach dla samotnych matek. Odwiedzała domy pomocy społecznej i przytułki, żebrając w nich o żywność i mleko dla córki. Dla zdobycia kilku marek oddawała się mężczyznom. Była coraz biedniejsza, było

coraz gorzej. Przyparta do muru spakowała walizki i wróciła do Bagna.

Po przyjeździe udała się do prawnika. Ten obejrzał odręcznie sporządzony akt woli, pokręcił głową i oznajmił, że przyementarny dom i działka są własnością wspólnoty parafialnej. Proboszcz nie miał prawa samodzielnie nimi rozporządzać.

Pod kobietą ugięły się kolana. Sytuacja wydawała się beznadziejna. W akcie desperacji udała się do biskupa. Odegrała scenę ciężko doświadczonej przez los kobiety. Zalała się łzami, padła na kolana i przedstawiła historyjkę, jak to proboszcz omotał ją i wykorzystał. Oznajmiła, że jeśli nie znajdzie zrozumienia, uda się do redakcji brukowca i opowie pismakom całą historię. Biskup zagryzł wargi. Jeszcze na dobre nie ucichły echa pedofilskiej afery w podległej mu parafii, a tu szykowała się następna gratka dla prasy. Widząc przed sobą zdeterminowaną kobietę, zaproponował jej kompromis: sekretarz kurii autoryzuje sporządzony przez proboszcza dokument. Działkę będzie mogła uprawiać po uprawomocnieniu się decyzji, natomiast właścicielką domu stanie się po dwóch latach. „Głupia dziwka. Myśli, że mnie przechytrzyła. Niech sobie mieszka w ruderze na pustkowiu” – pomyślał dostojnik w purpurze.

Któregoś dnia na jarmarku w Kłodzku Rachelę natknęła się na Cygankę ubraną w kolorową spódnicę. Spod chusty starowiny o spalonej słońcem twarzy wystawały kosmyki siwych włosów.

– Pani, powrócę ci. Przepowiem przyszłość – zachęcała słodkim głosem. Położyła na stoliku talię kart i poleciła jej wyciągnąć jedną.

Rachela dała się namówić.

– Pokaż, coś wybrała?



Na karcie widniały trzy ptaki. Jeden był czarny, drugi – popielaty, a ostatni – szary. Siedziały na krzyżu i patrzyły w dół z bocza.

Cyganka ujęła dłoń Żydówki i przemówiła:

– Wokół ciebie czai się Zło. Padlinożerne sępy czekają na łup. Hieny chcą cię rozszarpać. Widzę krew. Strzeż się ludzi w czarnych mundurach i z trupimi czaszkami na kołnierzykach. Kiedy ujrzysz na niebie stalowego ptaka, ukryj się w mogile.

Po plecach Racheli przebiegły ciarki. Słowa staruszki zabrzmiały złowieszczo i enigmatycznie.

– Jeżeli zakupisz u mnie obraz w połacanej ramie, ocali on twą córkę – pokazała jej malowidło.

*Święty obraz* (tak nazwała go Rachel) przedstawiał Matkę Boską z dzieciątkiem na ręce.

Zegary tykały, a w klepsydrach przesypywał się piasek. Wskazówki czasomierzy przesuwały się na cyferblatach. Czas nie odpoczywał.

Depresyjne tereny znalazły się pod wodą. Powstało zlewisko Nysy Kłodzkiej, otoczone wałem w kształcie podkowy. W miejscu, w którym wcześniej znajdowały się wieś Bagno i przysiółek Błotna, osadzał się muł. Zdezorientowane ptactwo krążyło na taflę jeziora, nie mogąc zrozumieć, gdzie podziały się siedliska.

Kamienista droga kończyła się w wodzie. Na poboczu gościńca pozostał drewniany słup z przymocowaną do niego tablicą z nazwą miejscowości. Farba na blasze łuszczyła się, a niektórych liter nie można było odczytać.

Cmentarz popadał w ruinę. Z muru odpadał tynk, a metalową bramę zżerała rdza. Pomiędzy grobami wybujały chwasty. Pozostawione bez opieki grobowce, pomniki za złotymi napi-

sami i marmurowe płyty obrastały mchem. Kolumny z granitu i posążki aniołków z rozpostartymi skrzydłami wyblakły i pokryły się szarym nalotem. Nad wzgórkami usypanej ziemi pochylały się krzyże, a zapadnięte mogiły porastała trawa.

Do władzy dochodził Hitler, rodziła się Trzecia Rzesza. Dominowały swastyki i trupie czaszki. Wybrańcy o blond włosach i niebieskich oczach poczuli się władcami świata. Niszczono synagogi i sklepy z kosztowną żywnością. Na murach pojawiły się gwiazdy Dawida i napisy: *Jude Raus*.

W przycementarnym domu zapanowała bieda. Zaczęły się napięcia. Dochodziło do sprzeczek. Osamotniony dom, zaniedbany cmentarz i szczerze pole dookoła. W powietrzu było czuć wojnę. Wydawało się, że los posesji jest przesądzony, że nadchodzi klęska.

Ci, którzy tak wróżyli, byli jednak w dużym błędzie.

## 6

Otto Molke rezydował na zamku. Z tarasu rozciągał się wspaniały widok. W pobliżu twierdzy lśniła tafla jeziora, w oddali widniało pasmo górskie.

Kiedy żona z dziećmi wyjechała w głąb kraju, kapitan poczuł się samotny. Ucieszył się zatem na widok Żydówki. Rachelę za jego rekomendacją została wciągnięta na listę informatorów i zdawała komendantowi relacje w cztery oczy. Cel uświęcał środki. Intymne spotkania pomogły jej znaleźć pracę w fabryce porcelany.

Żydówka, obserwując mężczyzn, doszła do wniosku, że rządzi nimi prymitywne instynkty. Pragną najeść się, zaspokoić popęd płciowy, a po wszystkim napić się piwa.

Czasami gardziła sobą, nazywała samą siebie dziwką. Nikczemne postęпки usprawiedliwiała trudnym dzieciństwem. Szybko poznała smak seksu. Zalutujący bimbrem ojciec sadzał ją na kolana. Początkowo myślała, że rodzic się z nią bawi lub w ten sposób okazuje jej czułość. Kiedy włożył jej łapsko w majtki, zrozumiała, że się do niej dobiera. Bydlak! Pedofil! Krzywdził własne dziecko. Po wszystkim wręczał jej słodycze. Żuła cukierki, ale nie czuła ich słodyczy.

Kiedy po raz pierwszy ujrzała przelatujące nad głową menseschmitty, przypomniały się jej słowa wróżbitki. Dopiero teraz zrozumiała, co miała na myśli Cyganka, mówiąc „stalowy ptak”. Tylko gdzie się przed nimi ukryć? W mogile?! Tak! To jest myśl! Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?! Mieszkają przecież na cmentarzu. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby jeden z grobowców zaadaptować na schron. Najodpowiedniejszy wydawał się ten najbliżej domu. Na spoczywającym na kolumnach epistylu widniał napis: „FAMILIEN GRUFT KELLER”. Po podważeniu marmurowej płyty ich oczom ukazały się zbutwiałe deski, kości, czaszki z pustymi oczodołami i wyszczerzonymi zębami.

Reinhold wysprzątał kwaterę, otynkował ścianki i wybielił je wapnem. Wykuł otwór w murze i wydrążył tunel, podczas gdy Rachel i Helga wynosiły gruz i ziemię. Po dwóch miesiącach wyczerpanej pracy podziemny korytarz połączył grobowiec z piwnicą. W schronie znalazł się materac, suchy prowiant, woda, świece, zapalki i wiadro na nieczystości. Droga do bunkra wiodła przez półkolistą wnękę usytuowaną w piecu chlebowym. Trzymano w niej drewno na opał. Wystarczyło wyciągnąć polana, przeczłgać się i wydrążonym szybem przedostać do grobowca.

Reinhold żął zboże, kopał ziemniaki, wrywał brukiew i obrywał kolby kukurydziane. Zbierał runo leśne i gromadził opał. Łowił ryby. Hodował drób, króliki i kozy. Łapał w sidła kuropatwy, bażanty i zające. Czasami udawało mu się nawet upolować sarnę.

Uśmiechał się do córki. Wychodziło mu to jednak żałośnie. Zamiast radości na jego twarzy ukazywał się grymas. Zdawał sobie sprawę, że jego trud i poświęcenie nie idzie w parze z uznaniem i odwzajemnieniem uczuć.

Gdy wchodził do kuchni, następowała cisza. Wyczuwał chłód. Rachela z Helgą milkły i wbijały wzrok w podłogę. Po chwili córka zmykała do swego pokoiku. Kiedy przebywał sam na sam z latoroślą, rozmowa się nie kleiła, wzajemnie unikali wzroku.

Córka nigdy się do niego nie przytuliła. A on tak rozpaczliwie pragnął akceptacji, ciepłego spojrzenia, serdecznego słowa, muśnięcia – bliskości drugiego człowieka. Czyżby sobie na to nie zasłużył? Czyżby oczekiwał zbyt wiele? Absencja uznania działała na niego deprymująco. Jego dusza przesiąkała żółcią. Czuł się niepotrzebny. Wył z rozpaczony jak kojot. Czasami w przypiływie szaleństwa obejmował oślizły pień drzewa i wylewał łzy odręczenia. Do tego wszystkiego był obiektem drwin okolicznych chłopów. Wołali za nim:

– Naiwniak! Wychowujesz córkę proboszcza! Pełnisz rolę pajaca. Rachela przyprawia ci rogi. Naciesz się jej tyłkiem, bo niedługo wywiozą ją do Auschwitz.

„Głupcy! O niczym nie macie pojęcia. Helga jest moją córką, a Rachela jest najśłodsza kobietą na świecie” – próbował się pokrzepić. Złośliwe uwagi wżerały się jednak w jego duszę i urażały męską dumę.

Wracił do domu w wisielczym nastroju, spożywał w milczeniu posiłek i dusił w sobie urojone krzywdy. Czasami miał ochotę złapać kogoś za gardło, powalić na podłogę i zdeptać buciorami.

Znalazł się w potrzasku. Rachelą była jedyną osobą, której mógł się zwierzyć. Natomiast za córkę oddałby życie. Ten układ uzależnień nadawał sens jego podłemu życiu.

## 7

**H**elga wychowywała się pośród grobów, na odludziu. Bez kolegów i koleżanek. Kiedy poszła do szkoły, poczuła się nieswojo i stroniła od rówieśników.

Ze strony dzieci spotykała się z uszczypliwymi uwagami. Mówiono jej, że Reinhold to hiena cmentarna, która rozkopuje groby i okrada zwłoki. Wyrывa trupom złote zęby i wykonane ze szlachetnego metalu koronki. Co zaś tyczy się matki, to żydowska zdzira, która dla ratowania skóry ściąga majtki i obdarowuje wdziękami notabli; puszcza się dla korzyści. Ona sama zaś jest córką klechy.

Zasłyszane wieści zasiały w jej duszy ziarno niepewności. Gdy zapytała matkę, co sądzić o tych rewelacjach, ta odpowiedziała, że to plotki. Nędzne wypociny, pożywka dla gminu. To prawda, była gospożą proboszcza, ale nic jej z nim nie łączyło. Zapewniła ją, że jej ojcem jest grabarz, i nakłaniała, aby była dla niego miłsza, ponieważ to on je chroni, pomaga im i dostarcza środków do życia.

Helga lekcje odrabiała przy ogarku świecy, ślęcząc do późna nad książkami. Interesowała się anatomią, pragnąc wykształcić się na medyka. W domu starała się być pomocna: szorowała

podłogi, sprzątała, gotowała i pomagała w obejściu. Uprawiała zioła i poznawała ich lecznicze właściwości.

Dziewczyna ukończyła szkołę podstawową i kontynuowała naukę w liceum pielęgniarstwie w Nysie. Pewnego dnia, jak grom z jasnego nieba, trafiła ją strzała Amora.

Młodzieńcza miłość, pierwsze tęsknoty i nieprzespane noce. Randki, przytulanie, pocałunki i poufne rozmowy. Spotykali się ukradkiem. Na polnych drózkach, w lesie i nad jeziorem. Helga się rozkojarzyła i opuściła w nauce. Opętała ją szaleńcza myśl. Utraciła zdrowy rozsądek. Postanowiła, że poślubi Brunona chociażby miała się upokorzyć. Oczami wyobraźni snuła plany na przyszłość. Widziała ich własny domek z ogrodem i gromadkę dzieci. Przrzekała, że będzie dobrą żoną, gospodynią i matką.

Młodzieńcze marzenia zderzyły się jednak z okrutną rzeczywistością. Była wojna, Bruno był synem nazisty i członkiem Hitlerjugend. Helga natomiast była córką grabarza i Żydówki. Jakie szanse na powodzenie miał zatem ten związek? Optymistycznie mówiąc – nikłe.

Dzisiaj miała powody, aby być w dobrym humorze. Kończył się rok szkolny, a ona zaliczyła już wszystkie przedmioty. Podążyła kamienistą dróżką. Nuciała pod nosem wesołą melodię i przeskakiwała z nogi na nogę. Nagle z przydrożnych krzaków wyskoczyło czterech chłystków. Z przytroczonych do pasów futerałów wystawały klingi bagnetów. Rękawy szarych koszul przyozdabiały opaski z czarnymi swastykami.

Bojówkarze mieli wprawę w tego typu atakach – szarżach na Żydów, bezbronne kobiety i zniedołężniałych starców. Dwóch przyskoczyło do Helgi i wykręciło jej ręce. Trzeci złapał ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu. Dziewczyna poczuła ból

w ramionach; wydawało jej się, że ją skalpują. Ostatni z oprychów – przywódca tej zgrai, podszedł i przyłożył jej bagnet do szyi.

– Na kolana! – wycedził przez zęby, uderzając ją na odlew.

Helga wykonała polecenie. Z nosa i wargi ciekła jej krew.

– Jeżeli jeszcze raz spotkasz się z Brunem, to cię wypatroszę, a twoje bebechy rozwieszę na krzakach tarniny. Słyszysz, co do ciebie mówię?! – wrzasnął jej w twarz. Był tak blisko, że poczuła cuchnący oddech i drobinki śliny na policzkach.

Bała się. Z trudem przełykała ślinę. Chciała odpowiedzieć, ale z zaciśniętej krtani nie mogła wydobyć głosu. Kiwnęła głową.

– Grzeczna dziewczynka. Widzę, że się dogadamy. Bo inaczej pokancerujemy ci twarz tak, że nikt cię nie pozna. Twoja matka zostanie wywieziona do obozu i przepuszczą ją przez komin, ojcem zajmie się gestapo, a na teren cmentarza wjadą buldożery i zrównają wasz dom z ziemią.

Damscy bokserzy czuli się pewnie. Nie przewidzieli jednak wszystkiego. A już na pewno tego, że za chwilę staną się łowną zwierzyną. W ich kierunku podążał Reinhold w asyście wilczurów. Mężczyzna wymachiwał sierpem i dał się w niebogłosy:

– Zostawcie ją! Ubiję!

Rysy jego twarzy wyrażały wściekłość i determinację. Nie ulegało wątpliwości, że w obronie córki gotowy jest zabić. Nastawienie nazistów uległo diametralnej zmianie. Buta gdzieś przysła, odwaga wyparowała, a w ich poczynania wkradła się panika.

– Ten psychopata gotowy jest posiekać nas na kawałki! Spieprzajmy, ile sił w nogach! Rozproszmy się, to nas nie dopadnie! – wykrzyknął szef.

Bojówkarze uciekali, aż się za nimi kurzyło. Jeden umknął w zboże, drugi w kartoflisko, a dowódca z bratem pobiegli szosą w stronę Wilamowej. Reinhold podążył za nimi.

– Zagryźcie te kanalie! – nakazał psom.

Brat dowódcy, widząc wilczury, przystanął, wyciągnął zza pasa pistolet, wymierzył i wypalił. Chybił. Odgłos wystrzału podziałał jednak deprymująco na czworonogi. Psy przystanęły i spojrzały na pana.

– Bierzcie ich! Rozszarpcie te ścierwa! – zachęcał je Reinhold. Psy obnażyły kły i pognały przed siebie.

Przywódca bandy, widząc, że to nie przelewki, przeskoczył rów i zniknął w poletku kukurydzy. Jego brat potknął się i wyciągnął na asfalcie jak długi. Poranił sobie kolana i dłonie. Podniósł się, ale było już za późno. Psy przyskoczyły do niego i zaczęły kąsać. Jeden z nich rzucił mu się do gardła, drugi zaciśnął szczęki na łydce. Młodzieniec zawył z bólu i skrzyżował ręce, osłaniając twarz. Czworonogi ostrymi jak brzytwa kłami rozdierały ubranie. Gdy jeden z psów rozplatał mu policzek, chłopak pomyślał, że to koniec. Nie zważając na ból, przystawił do głowy zwierzęcia pistolet i pociągnął za spust. Rozległ się wystrzał. Drobiniki mózgu i tkanki kostnej trysnęły na twarz nazisty. Wilczur z roztrzaskaną czaszką osunął się na drogę. Drugi pies podwinął ogon i umknął w pole.

– Dorwę was, dranie! Jeszcze raz zbliżycie się do mojej córki, to urwę wam jaja i u samej dupy obetnę nogi!

– Dziękuję – szepnęła Helga, gdy się do niej zbliżył. Dla Reinholda to słowo znaczyło więcej niż milion marek wygranych na loterii.

– Nie mów nic matce. Ma dość własnych problemów – powiedział do córki.



Dziewczyna spojrzała na niego. Dostrzegła w tym budzącym w niej grozę człowieku namiastkę ludzkich uczuć.

Oczy grabarza złowieszczo błyszczały. Ukazały się w nich mściwe błyski. Znał szefa tej zgrai. Nazywał się Hans Kopke. Wkrótce rozpocznie na niego polowanie.

## 8

**Z**szokowana dziewczyna po kilku dniach rozmyślenia doszła do wniosku, że Bruno nie ma nic wspólnego z napadem. Wiadomo, miłość jest ślepa.

Złapała za rower i odwiedziła miejsca, w których spotykała się z ukochanym. Miała nadzieję, że chłopak w którymś z nich się pojawi. Niestety nic z tych rzeczy. Zebrała się więc na odwagę i pojechała do Wilamowej. Przystanęła przed domem młodzieńca, podeszła do bramki i nacisnęła dzwonek. W drzwiach domu ukazał się mężczyzna. Jego lewe ramię opinała opaska ze swastyką.

– Czego? – zapytał opryskliwie, podchodząc do furki. Popatrzył na Helgę nienawistnym wzrokiem.

– Chciałabym porozmawiać z Brunem – odpowiedziała, patrząc mu hardo w oczy.

– Bruno jest zajęty. Mamy ważną naradę.

„Hitlerowcy, bandyci, nędzne kreatury. Na pewno planują następne napady” – przemknęło jej przez głowę. Zacisnęła zęby. Zdawała sobie sprawę, że złością nic nie wskóra. Musi się ukorzyć.

– Jestem jego koleżanką.

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Umówmy się tak: Bruno wyjdzie do ciebie na dwie minuty. Ani sekundy dłużej! – pogroził jej palcem.

W pokoju siedziało kilku młodzieńców. Jeden z nich miał zabandażowane ręce i plaster na policzku.

– To walnięta dziewczyna. Synu, bądź mężczyzną. Myśl głową, a nie futem. Znajdziemy ci porządną Niemkę. Odpraw ją, bo ściągnie na nas nieszczęście. Zainteresuje się nami gestapo. Wiesz, co masz jej powiedzieć, czy mam cię pouczyć? – podszedł do Brunona i położył mu dłoń na ramieniu.

Kiedy młodzieniec wyszedł, mężczyzna zwrócił się do Hansa:

– Trzeba raz na zawsze unieszkodliwić tę dziwkę! To niesłychane, żeby córka Żydówki i zapchlonego grabarza zalecała się do mojego syna! – złapał się za głowę.

– Dorwę ją w ciemnym zaułku, wsadzę laskę dynamitu w odbył i podpalę lont – roześmiał się Hans.

Gdy Bruno zobaczył Helgę przed bramką, ze strachu o mało nie narobił w gacie.

– Zgłupiałaś! Mówiłem ci, żebyś tutaj nie przychodziła! Będę miał przegwizdane – zaczął płaczkliwym głosem, zdając sobie sprawę, że zza firanki obserwują go czujne oczy.

– Kocham cię. Tęsknię... Spotkajmy się nad jeziorem – prosiła.

– Jutro! Idź już, na miłość boską.

– Bruno! Marsz do domu! Obowiązki czekają. Dwie minuty minęły – dobiegł do nich rozkazujący głos.

Spotkanie nazajutrz nie miało romantycznych wątków. Atmosfera była napięta. W oczach chłopaka widać było strach. Co rusz oglądał się za siebie. Helga postanowiła, że nie będzie skomleć.

– Kto nasłał na mnie zbirów?! – zapytała go obcesowo.

– Nie wiem, o czym mówisz – udawał zaskoczonego, chociaż zdawał sobie sprawę, że to jego ojciec zorganizował tę akcję.

– Kłamiesz! Odejdź ode mnie, maminsynku! – krzyknęła wzburzona.

– Chłopy chcieli cię tylko postraszyć – wyrzucił z siebie.

– Dobrze sobie! Mam rozciętą wargę i pękniętą przegrodę nosową. Zejdź mi z oczu! Obiecałeś... – rozplakała się.

Zażenowany młodzieniec nie wiedział, co zrobić z dłońmi.

– To nie tak, jak myślisz. Ja naprawdę... – wyjąkał.

– Precz! – wrzasnęła tak głośno, że aż przstraszyła się własnego głosu.

Odszedł bez słowa pożegnania, podczas gdy ona oczekiwała gestu pocieszenia.

Przez kilka dni chodziła jak struta. Płakała, rozpaczała. Umierała z tęsknoty. Narzekała na swój los. Żywiła się ułudą. Wałęsała się po polnych ścieżkach, mając nadzieję, że Bruno pojawi się i ją przeprosi.

W końcu w akcie desperacji postanowiła, że odbierze sobie życie. Wykładała matce fiołkę, na której widniała nalepka z trupią czaszką. Nalała do kubka wody i kilka kropel mikstury. W momencie podnoszenia naczynia do ust usłyszała bicie kościelnego dzwonu. Wraz z pierwszym uderzeniem przyszło otrzeźwienie. Wylała do zlewu truciznę i objęła rękami głowę. Przez uchylone okno wdzierało się ożywcze powietrze. Wiatr niósł z sobą zapach dojrzałego zboża. Powiew przynosił zapach życia.

Helga oklapła na krzesło. Wróciła z dalekiej podróży. Przed upadkiem w nicość uratowało ją spiżowe serce, uderzając w czaszę dzwonu. Upadła na kolana, biła się w pierś i przyrze-

kła przed *Świątym obrazem*, że już nigdy nie okaże słabości i będzie przyjmować porażki z wysoko uniesioną głową.

Nie miała pojęcia, że sercowe rozterki, zawód miłosny czy chwilowe załamania nerwowe to tylko drobnostki. Czekwały ją poważniejsze próby. Dramatyczne wybory. Dopiero wtedy odpowie sobie na pytanie: jaka jest silna?

Dzięki ojcu Brunona Hans Kopke nie znalazł się na froncie. Adwokat załatwił mu zaświadczenie, że młodzieniec choruje na astmę. Chłopak obiecał, że w dowód wdzięczności unieszkodliwi Helgę. Zamierzał chlusnąć jej w twarz żrącą substancją. Inwigilację dziewczyny ułatwiały mu zarośla i łąny zbóż. Helga przechadzała się polnymi ścieżkami, zbierała maliny i jeżyny w lesie oraz spędzała czas nad jeziorem. Hans przygotował buteleczkę z kwasem i czekał na dogodny moment. Musiał być ostrożny. Oszpeccenie kogoś to nie to samo, co zastraszanie czy napisanie kilku obraźliwych słów na murze. W razie wpadki groziły mu surowe konsekwencje.

Chłopak uważał się za wiarusa, ale w gruncie rzeczy był amatorem. Podążając za Helgą, nie zauważył zagrożenia. Ktoś pozostający w cieniu wyprzedzał go o pół kroku. Uderzenie spadło na niego jak błyskawica. Drapieżca zatopił szpony w ciele kompletnie zaskoczonych ofiary.

Była pełnia. Hans w gronie przyjaciół udał się nad staw. Młodzieńcy rozbili namioty, rozpalili ognisko, zarzucili wędki i oczekując na branie, raczyli się piwkiem. Komary kąsały, a ryby nie miały ochoty połknąć przynęty. Część wędkarzy położyła się spać. Hans z najwytrwalszymi pozostał na brzegu. Złapał płotkę, założył robaka na haczyk i ponownie zarzucił.

Wypite piwo zrobiło swoje. Młodzieniec wstał i udał się w krzaki. Po kilku minutach zaczęto go szukać. Jakby zapadł się

pod ziemię. Ogłoszono alarm. Może wpadł do wody? Może zasnął w krzakach? Może, może, może... Na usta cisnęły się setki pytań.

Znaleziono go dopiero po kilku dniach. Przybitego gwoździami do konarów dębu. Widok zmasakrowanego ciała wstrząsnął nawet doświadczonym medykiem. Młodzieniec przed śmiercią został poddany torturom. Przypalono mu stopy, wyłupiono oczy i okaleczono język. Ucięte genitalia tkwiły w jamie ustnej.

Sprawców lub sprawcy nigdy nie wykryto. Śmierć nazisty zapisano na konto ruchu oporu. Trudno. Takie rzeczy się zdarzają. To wojna, a nie potańcówka. Trup ścielił się gęsto po obu stronach frontu. Policja miała na głowie ważniejsze sprawy niż uganianie się za partyzantami.

## 9

**K**lęska pod Stalingradem, przegrana bitwa pod Kurskiem i ofensywa aliantów obniżyły morale okupanta. Do granic Polski zbliżały się wojska sowieckie. Wśród Niemców wybuchła panika. Faszyci obawiali się rozliczenia.

Rachela straciła pracę i zaszyła się w domu. Bała się pokazywać na oczy ludziom, którzy nazywali ją żydowską szmatą i straszili wywózką do Auschwitz.

Pod ich posesję podjeżdżali naziści, wypisywali na murach obraźliwe słowa, wybijali szyby i obrzucali budynek butelkami z benzyną. Dla zwiększenia środków bezpieczeństwa wokół zabudowań postawiono parkan, na którego zwieńczeniu umieszczono zwoje kolczastego drutu. Po podwórzu kręciły się wilczury, a Reinhold nie rozstawał się ze znalezionym na strychu mauserem.

Aplikowane przez Żydówkę medykamenty spowodowały u grabarza coś w rodzaju uzależnienia. Kiedy wyczerpał się zapas leków, zaczęła się gehenna – mężczyzna ciągle był rozdrażniony. Rachela poprosiła w związku z tym kapitana Molke o leki uspokajające. Otto przecząco pokręcił głową. Takich środków nie miał pod ręką. Jedyнным medykamentem, jaki posiadał, była specyfik używany przy przesłuchaniu więźniów. Po zaaplikowaniu preparatu pytany wyjawiał najskrytsze tajemnice. Żydówka wzruszyła ramionami. Lepsze to niż nic.

Po obiedzie poczęstowała grabarza zaprawionym kilkoma kroplami leku winem. Efekt eksperymentu przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Przeraziła się, myśląc, że przedawkowała. Reinhold zachwiał się, ugięły się pod nim kolana i runął na łóżko jak kłoda. Znieruchomiał i pobladł na twarzy. Przystawiła grabarzowi do ust lusterko, a gdy jego powierzchnia zamgliała się, odetchnęła z ulgą. Szarpnęła nieprzytomnego za ramię i podłożyła mu poduszkę pod głowę. Nalała do garnuszka wody i umoczywszy dłoń, chlusnęła mu w twarz. Następnie klepnęła go w policzek. Grabarz drgnął, otworzył oczy i popatrzył na nią mętnym wzrokiem.

– Dobrze się czujesz?

Na zadane pytanie odpowiedział jedynie potakującym skinieniem głowy. Rachelę rozbawiła ta sytuacja.

– Przyznajesz się do zbrodni? – zapytała z głupia, dając mu kuksańca w żebra.

To, co usłyszała, wprawiło ją w osłupienie. Grabarz majaczył o pakcie z diabłem i zamordowanych kobietach. Z przerażeniem wsłuchiwała się w chaotyczne słowa. Żałosny bełkot układał się w logiczną całość. Turystka, potem wdowa – obie zniknęły bez śladu. Kostnica...? Mogiły...? Zadrżała. Przeszły

ją ciarki. Oblały zimne poty. Czyżby mieszkała pod jednym dachem z seryjnym mordercą? Jeżeli to prawda, znalazła się w potrzasku. Groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo!

Grabarz spał kilka godzin jak kamień. Gdy się przebudził, zamrugał i popatrzył na Rachelę zamglonym wzrokiem.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– W domu – odpowiedziała mu strwożona.

– Wiruje mi w głowie. Nic nie pamiętam... urwał mi się film. Przyznaj się, dolałaś do wina spirytusu?

Rachela przyglądała mu się uważnie. Jeżeli Reinhold jest mordercą i nikt go dotychczas nie zdemaskował, musi być z niego przebiegła bestia.

Pewnego dnia Reinholda ogarnął szał. Rzucił talerzem o ścianę, wyzwał Rachelę od najgorszych, złapał ją za gardło i powalił na posadzkę. Kopał leżącą podkutym buciorem. Kobieta skuliła się, zasłoniła głowę i błagała grabarza, aby się zlitował.

– Ty wymalowana kurewko, ty żydowski darmozjadzie! Kim dla ciebie jestem?! Służącym?! Lokajem?! Myślisz, że jestem głupi i nie wiem, że przyprawiasz mi rogi! Wkładasz koronkowe majtki, jeździsz do miasta i pieprzysz się z wojskowymi. Wyrzucę cię z domu! – krzyczał, tocząc pianę z ust. Jego oczy błyszczały złowrogo.

Rachela postawiła wszystko na jedną kartę.

– Damski dusiciel! – wykrzyknęła.

Reinhold zeszywniał. „Blefuje... Przecież nikt mnie nie widział!”

– Wiem, że je zabiłeś! Mam mocne dowody! – kontynuowała podniesionym głosem. Jednocześnie uświadomiła sobie, że

ukręciła stryczek na własną szyję. Za chwilę Reinhold zabije ją, aby pozbyć się świadka.

– Skąd...? Kto...? – wyjąkał.

– Jesteś skończony! Zawiśniesz! Zostawiłam list u zaufanej osoby. Jeżeli coś mi się przytrafi, pismo w ekspresowym tempie znajdzie się na biurku komendanta policji – brnęła dalej w ślepy zaułek. Improwizowała. Nie miała nic do stracenia, a wiele do zyskania. Podniosła się z podłogi i usiadła na krześle. Bolały ją żebra, oddychała z trudem. Na twarzy Reinholda zagościła niepewność. – Zamordowałeś turystkę, a potem wdowę. Obie pochowałeś na cmentarzu. Sprytnie to obmyśliłeś. Myślisz, że nie zostawiłeś żadnego śladu? – spojrzała mu w oczy. – Przed chwilą wspomniałeś, że wyrzucisz mnie z domu. Jakim prawem?! – krzyknęła. Wstała, zacisnęła zęby i pokuśtykała po wytartych płytkach do pokoju. Przyniosła akt notarialny i podsunęła go grabarzowi pod nos. – Czytaj! – wskazała mu rubrykę z nazwiskiem właściciela. – Potrzebujesz okularów?! Widzisz, co tu jest napisane?! Rachela Medres jest właścicielką posesji wraz z przylegającą do niej działką.

– Przecież to mi przydzielono to lokum – odezwał się bez przekonania.

Rachela pokiwała głową i uśmiechnęła się szyderczo.

– Prostaku! Głupcze! Dom należał do wspólnoty parafialnej, ale z chwilą likwidacji wioski wystawiono go na sprzedaż. Nabyłam go od kurii. Jeżeli zechcę, wyrzucę cię stąd na zbity pysk.

– Po moim trupie! Jeżeli ze mną zadrzesz, to wszyscy dowiedzą się, co stało się z córką proboszcza.

– Potworze! Egoisto! Chamie niemyty! Siedź cicho, bo skończysz za kratkami!



– Nic mi nie udowodnią. Wymyślasz niestworzone historie – zawiesił głos, obserwując ją bacznie spod krzaczastych brwi.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje. Co miała na szyi wdowa w dniu śmierci?

Reinhold drgnął. „Czyżbym coś przeoczył?” – pomyślał.

– Kobieta nosiła charakterystyczny srebrny medalik z wizerunkiem Matki Boskiej. Znalazłam go na jednej z cmentarnych alejek – ogłosiła triumfalnie.

Reinhold skurczył się. Odwaga go opuściła. Zdał sobie sprawę, jak mało znaczy. Był śmieciem, którego nawet nędzna Żydówka mogła szantażować. To jednak był dopiero początek jego kłopotów. Od czego bowiem ma się przyjaciół. Rachelą poprosiła komendanta, aby ten używając wpływów, postraszył grabarza.

Kilka dni po sprzeczce pod bramą cmentarza zaparkował czarny mercedes. Wsiadło z niego dwóch cywilów w skórzanych płaszczach. Kierowca został w samochodzie.

– Reinhold Gruber? – zapytał jeden z funkcjonariuszy, a gdy ten potwierdził, nakazał mu zabrać ze sobą dokument tożsamości i udać się z nimi na posterunek.

Przywieźli go do otmuchowskiej twierdzy. W podziemiach znajdowała się cela przesłuchań. Z łukowatego sufitu zwisała żarówka. Przed przywiezieniem Reinholda, ściany pokoju spryskano czerwoną farbą imitującą krew.

Za biurkiem siedział esesman. Wyglądał jak knur wciśnięty w mundur. Asystowało mu dwóch oprawców, których twarze przypominały mordy psów bokserów. Mężczyźni dzierżyli w dłoniach pałki i spoglądali groźnie na Reinholda. Przy ścianie stał metalowy stolik. Leżały na nim narzędzia tortur. Pod sufitem zamocowane było metalowe kółko, przez które przewlecz-

no łańcuch zakończony hakiem. Pod grabarzem ugięły się kolana. Pomyślał, że czeka go teraz to, na co zasłużył.

– Ile masz lat? – zapytał hitlerowiec, przerzucając kartki.

Na czole Reinholda ukazały się krople potu.

– Czterdzieści trzy – odpowiedział drżącym głosem. Kręciło mu się w głowie i zbierało na wymioty.

– Panowie, rozbierzcie go do naga – skinał na pomocników.

Dwa potwory przypadły do niego, zdarty z niego koszulę i spodnie. Reinhold nie przejął się tym, że ma sprane szorty i dziurawe skarpetki.

– Wcielimy cię do wojska i wyślemy na front. Powąchasz prochu. Posłużysz artylerzystom za wycior. Będą tobą czyścili lufy. Rzesza potrzebuje każdej pary rąk. Doszły do nas słuchy, że kłusujesz i współpracujesz z polskimi bandytami.

Pomimo grozy sytuacji, Reinhold odetchnął z ulgą. „Nic nie wiedzą o Hansie i kobietach” – przemknęło mu przez głowę.

Maglowano go dwie godziny. Podgrzewano napięcie.

– Założyliśmy ci kartotekę. Będiesz naszym szpiclem. Nadstawiaj uszu. Pamiętaj! Doceń, że byliśmy dla ciebie mili. Gdy dotrą do nas niepokojące wieści, wskażemy ci miejsce w szeregu. Moi ludzie palą się do roboty. Z przyjemnością połamalibyście komuś palce, żebra albo wyłupili oczy, prawda, chłopcy? – roześmiał się, ukazując zepsute zęby.

Dwóch goryli skinęło głowami. Reinholda przeszyły zimne dreszcze.

Kilka dni wałęsał się po polnych drózkach. Zacisnął usta, wbił wzrok w ziemię i nie odzywał się do nikogo. Najchętniej zapadłby się pod ziemię.

Rachela zdawała sobie sprawę, że po tygodniu użalania się nad sobą pogodzi się z losem, „skruszeje” i wszystko wróci do normy.

– Porozmawiajmy – zaproponowała przy posiłku.

Reinhold popatrzył na nią mściwie.

– Czego chcesz? Zostaw mnie. Dlaczego mnie dręczysz? – odpowiedział zaczepnie.

– Jesteśmy na siebie skazani. Mamy córkę. Czasy są niepewne. Hitlerowcy wężą. Partyzanci wzmogli akcje dywersyjne. Nadchodzą sowieci. Musimy za wszelką cenę przeżyć i przedłużyć nasz ród – wyrzucała z siebie.

– Jestem nikiem. Śmieciem. Nie masz pojęcia, co wycierpiałem. Nie znałem ciepła rodzinnego domu. Od dziecka tułałem się po sierocińcach. Pomiatano mną. Obdarto z godności. Wydarto mi trzewia. Zabito we mnie Dobro – szłochał.

– Nie przesadzaj. Można na tobie polegać. Musimy współdziałać, a nie rywalizować. Odrzućmy uprzedzenia i żale. Los nas nie oszczędza. Nie nauczono nas kochać, wstydzimy się także okazywać prawdziwe uczucia. Oboje popełniliśmy nikczemne czyny. Chyba nie chcesz, aby nasza córka podążała tą samą ścieżką? Zafundujmy jej lepszy świat!

## 10

**L**istopad 1943 roku. Rachela i Reinhold usiedli na ławeczce przed domem. Helga przebywała w pokoiku. Na drodze panował ożywiony ruch. Samochody, transportery, czołgi i działa na lawetach przemieszczały się w różnych kierunkach.

Nieoczekiwanie powietrzem wstrząsnęła potężna detonacja. Po drugiej stronie jeziora wystrzelił w powietrze słup ognia. Na niebie pojawiła się luna. W tafli odbijał się blask płomieni.

Wiatr niósł w ich kierunku przeraźliwy zgrzyt rozrywanego żelastwa i podniesione głosy. Rozpoczęła się strzelanina. Wybuchwały granaty i pociski z moździerzy, odzywały się serie z karabinów maszynowych i jazgotał erkaem. Wymiana ognia trwała kilkanaście minut. Potem słychać było tylko pojedyncze strzały. Zaniepokojona Helga wyszła przed budynek.

– Co to było? Bombardowanie? Zbliża się front? – zapytała strwożona.

– Partyzanci wysadzili pociąg. Zaraz zrobi się tutaj gorąco. Schowajmy się w domu – zarządziła Rachelą.

Zaryglowali drzwi. Na posadzce w korytarzu położył się wilczur. Drugi został na zewnątrz. W pomieszczeniu panowało napięcie. Reinhold tępym wzrokiem patrzył przed siebie, Helga zaciskała dłonie.

Na zewnątrz rozległo się ujadanie. Pies podniósł się z podłogi i nastawił uszy. Reinhold złapał mausera i wyszedł na korytarz. Szczekanie przybrało na sile. Wilczur zjeżył sierść i wyszczerzył kły. Grabarz odsunął rygiel, otworzył drzwi i omiół wzrokiem podwórze. Ktoś stukał w parkan. Reinhold uspokoił psy, przeładował karabin i uchylił bramkę.

– Ratunku! Pomocy! – ktoś błagał. Z mroku wyłonił się ociekający wodą mężczyzna. Upadł na kolana i złożył dłonie jak do modlitwy. Przyskoczyły do niego czworonogi.

– Zostawcie! Do domu! – zaordynował grabarz. Działał spontanicznie, ale wbrew logice. Za udzieloną partyzantowi pomoc groziła kara śmierci.

Przez głowę Żydówki przemknęła jednak myśl, że uratowany Polak może okazać się w przyszłości przydatny.

– Do schronu! Nie mamy chwili do stracenia! – krzyknęła.

– Zabijmy go, bo ściągnie na nas nieszczęście! – zaoponował Reinhold i złapał dywersanta za ramię.

Partyzant popatrzył na niego błagalnym wzrokiem. Na szali znalazło się jego życie.

– Zostaw go! – zaprotestowała Rachela i odtrąciła dłoń partnera. Otworzyła drzwi do pomieszczenia pieca chlebowego, odsunęła na bok dębowe szczapy, wsunęła się we wnękę i zaczęła Polaka, aby podążył za nią. Dywersant się wahał.

– Pospiesz się, jeżeli ci życie miłe! – ponaglała go rozgoryczkowanym głosem.

W ciągu kilku paru sekund zniknęli pod ziemią. Polana z powrotem znalazły się we wnęce, a drzwi pomieszczenia zostały zamknięte. Jedynym śladem pobytu przybysza była mokra posadzka.

Kilka minut później pod bramę posesji podjechał samochód i omiótł światłami budynek.

– Matka wyjechała, rozumiesz? Nie mamy pojęcia, gdzie jest i kiedy wróci – pouczał Reinhold córkę.

Helga kiwnęła głową. Trzęsła się ze strachu.

– Otwierać! – zawołał ktoś donośnie.

Grabarz uspokoił rozdrażnione psy.

– Kto tam?!

– Żandarmeria wojskowa. Otwieraj, bo zrobimy z ciebie durszlak! – odezwał się rozkazujący głos.

Reinhold odsunął zasuwę. Jego oczom ukazało się sierżant, a za jego plecami – żołnierze.

– Na podłogę, chamie! Uważajcie! W pobliżu mogą czaić się dywersanci – ostrzegał dowódca.

– Skąd masz giwerę?! – zapytał Reinholda.

– Znalazłem na strychu. Jestem dobrym Niemcem.

– To się jeszcze okaże! – odparł esesman.

Do kuchni wpadło dwóch żołnierzy, wyrwało Heldze miotłę i powaliło ją na posadzkę.

– Czysto. Nikogo. Ani śladu obcych. Znaleźliśmy dwie butle wina – zameldował sierżantowi kapral z nutką triumfu w głosie.

– Ani się ważcie! Alkohol może być zatruty. Chcecie mi wmówić, że nie wiecie, co się wydarzyło po drugiej stronie jeziora? Polskie świnie wysadziły wojskowy transport. Zginęło wielu naszych. Zabiliśmy kilku dywersantów, ale trzech z nich przepłynęło łódką na drugą stronę zbiornika. Znaleźliśmy ją w trzcinie. Jeden z obwiesi wykrwawił się na śmierć, ale pozostali dwaj wciąż się ukrywają. Dobrze wam radzę, współpracujcie z nami. Prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw i wtedy nie będzie dla was ratunku. Może zauważyliście coś podejrzanego? Na przykład hałasy, ujadanie psów? Na razie wam wierzę – powiedział, widząc, jak przecząco kręcą głowami. – Przeszukamy obejście i cmentarz, a ty nam w tym pomożesz – wskazał palcem Reinholda.

Sprawdzili szopki, stodołkę i dREWUTNIĘ. Kiedy znaleźli się między grobami, po plecach żołnierzy przeszły zimne ciarki. Zbliżali się do kaplicy. Ciszę rozdarł odgłos wystrzału i jeden z wojskowych osunął się na ziemię. Reinhold instynktownie przywarł do gruntu.

– Jest tam. Strzelajcie na mój znak. Dopadnę drania. Zajdę go od tyłu. Daj mi bagnet – zażądał grabarz od leżącego obok niego żołnierza. Wyczuł w dłoni zimną stal. Znał teren i wiedział, gdzie znajduje się dywersant. Należało go podejść, odwrócić uwagę i zabić. Nie miał innego wyboru.

Przeczołgał się kilka metrów i uniósł rękę. Odezwały się serie z karabinów maszynowych. W kierunku kaplicy pomknęły

pociski smugowe. Reinhold wyteżył wzrok, podniósł się, podbiegł kilka metrów i z bagnetem w dłoni rzucił się na mężczyznę. Zadał szybki cios. Ostrze trafiło w żebro, ześlizgnęło się i znalazłszy lukę, zanurzyło się w piersi po rękojeść. Zaatakowany w ułamku sekundy padł trupem.

– Boże, wybacz mi. Nie mogłem inaczej – wyszeptał, wycierając o spodnie zakrwawione dłonie.

– Dobra robota. Nie miałem pojęcia, że z ciebie taka krwiożercza bestia – chwalił go po akcji sierżant. – Na drugi raz nie zabijaj, tylko bierz żywcem. Oddajcie mu broń, chłopcy.

Helga popatrzyła na ojca z pogardą.

„Cztery ocalone życia za jedno stracone” – pomyślał Reinhold.

Trwały poszukiwania zbiega. Przeczesywano pola, lasy i zarośla. W końcu Niemcy dali za wygraną, uznając, że Polak im umknął.

Reinhold wałnął trzy razy drągiem w pokrywę schronu. Sygnał powtórzył trzykrotnie. Było to umówione hasło – ukrywający się w bunkrze ludzie mogli go opuścić. Wyczołgali się spod pieca i zmrużyli oczy. Wyglądali niechlujnie. Cuchnęło od nich potem i moczem. Mężczyzna dziękował za ocalenie. Obiecał, że nocą wymknie się w pole i tyle go będą widzieli.

Początkowo Reinhold zamierzał go zabić. Partyzant mógł sięgnąć na nich nieszczęście. Jednak Rachelę przekonała go, żeby tego nie robił. Kto wie, co przyniesie przyszłość.

– Nazywa się Zenon Kurek. Jest członkiem grupy oporu i mieszka w Kozielnie – wiosce koło Paczkowa. Zapamiętajcie to nazwisko. Powiedział mi, że wojna zmierza ku końcowi. Wojska niemieckie dostają łupnia. Przebywając w grobowcu, nie zapalaliśmy świecy, obawiając się, że zapach wosku lub

błysk płomienia może nas zdradzić. Najgorsze było oczekiwanie. Godziny wlokły się w nieskończoność. Starczyło nam żywności i wody, ale mieliśmy problem z odchodami. Pomieszczenie przesiąkło smrodem – zdawała im relację wkrótce po tym, jak mężczyzna opuścił dom.

## 11

Wokół szyi Racheli zaciskała się pętla. Do szefa gestapo wpłynął anonim, że Żydówka współpracuje z partyzantami. Sprawę potraktowano poważnie. Rozpoczęto dochodzenie. Pod pretekstem kontroli przejrzano listę konfidentów. Figurowała na niej Rachela Medres. Wypłacano jej drobne kwoty. Tyle tylko, że dostarczane przez nią informacje były nic nie warte. W trakcie śledztwa wyszło również na jaw, że Otto Molke spotykał się z nią od dłuższego czasu. Nie ulegało wątpliwości, że schadzki miały charakter intymny.

Rachela wielokrotnie przebywała w gabinecie kapitana i mogła wejść w posiadanie poufnych danych. Wystarczyła chwila, aby przejrzeć dokumenty i pstryknąć fotkę. Były to przypuszczenia, ale do zajmującego się tą sprawą oficera dotarła informacja, która go zelektryzowała. Jeden ze szpicli doniósł mu, że partyzant uczestniczący w akcji wysadzenia pociągu pochodzi z Kozielna.

Nie bawiono się w ceregiele. Zakuto matkę delikwenta w kajdanki i przywieziono ją na posterunek, gdzie „oddano ją wstępnej obróbce”. Kobieta nie powiedziała nic, lecz gdy na jej oczach jej mężowi zmiażdżono palce, a do brzucha brzemiennej córki przystawiono pistolet, zaczęła mówić. Syn odwiedził ją kilka razy i wspominał o cmentarzu i Żydówce, która uratowała mu życie.



Szybko zapadły wyroki. Kobiętę rozstrzelano. Pozostali członkowie rodziny zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych, a ich domy spalone.

Luty 1944 roku. Temperatura oscylowała na poziomie kilku stopni Celsjusza poniżej zera. Wiał mroźny wiatr i prószył śnieg.

Rachela wybrała się na zakupy do pobliskiej wioski. Miała pecha. Wypatrzył ją konfident, który powiadomił posterunek gestapo. Gdy Żydówka wróciła do domu, tuż za nią pojawiły się dwa samochody. Wsiadło z nich sześciu żołnierzy i dowódca w randze porucznika.

Słyszając warkot silników i podniesione głosy, Rachela włożyła do ust kapsułkę z cyjankiem potasu i przesunęła ją koniuszkiem języka pod dolną wargę. Spojrzała na Matkę Boską na *Świętym obrazie* i wyszeptwała:

– Dziękuję ci, Przenajświętsza, że pozwoliłaś mi żyć tak długo. Błagam cię – ocal Helgę.

Niemiecki oficer kroczył sprężystym krokiem. Wyglądał jak nadczłowiek. Na zwieńczeniu czapki lśniła trupia główka i skrzyżowane kości. Czerwona opaska ze swastyką opinała rękaw. Na wypielęgnowanej twarzy rysował się wyraz stanowczości, pewności i buty.

Porucznik słynął z okrucieństwa. Nazywano go katem, ponieważ dręczył i zabijał wycieńczonych więźniów. Ofensywa radziecka wymusiła na Niemcach likwidację zarządzanej przez niego placówki i zatarcie śladów zbrodni. Amon Kalder, bo tak nazywał się ten psychopata, został zatem przeniesiony do Nysy. Aresztowanie Racheli uważał za pewien rodzaj rozrywki. Kobieta?! Co to dla niego! Bułka z masłem. Odszkodnia od monotonii codziennego życia.

Porucznik pobieżnie zapoznał się z aktami sprawy, nie zrobił rozpoznania terenu, myśląc, że ma do czynienia z prymitywnymi wieśniakami. Rozkazał kierowcom zostać przy samochodach, skinął dłonią na pozostałych żołnierzy i polecił im przyprowadzić kobietę. Dwóch gestapowców nakazało Racheli udać się z nimi. Nawet jej nie przeszukali.

Reinhold był na polowaniu, a do cmentarza zbliżała się Helga. Widząc stojące przed domem pojazdy, zamierzała ukryć się za drzewami. Miała pecha – dostrzegł ją jeden z esesmanów i przyprowadził przed oblicze szefa. Ten sprawdził jej dowód.

– Helga Medres? Córeczka aresztowanej. Interesuje mnie wyłącznie matka. Ta dzierlatka nie jest mi potrzebna. Zabaw się z nią, Kirst. Jest twoja – powiedział Amon do postawnego kaprala. Oznaczało to pełne przyzwolenie. Podopieczny mógł zrobić z dziewczyną, co tylko zapragnie.

Kapral nie bawił się w konwenanse. Złapał Helgę za włosy i pociągnął za sobą. Dziewczyna syknęła z bólu, co rozsierdziło sadystę. Wpadł w szal. Uderzył nastolatkę pięścią w głowę, a następnie zdzielił kolbą karabinu w twarz. Helga zawyla jak zranione zwierzę, upadła na ziemię i zwinęła się w kłębek. Gestapowiec kopał ją jak oszalały. Połamał jej żebra, nadwyrężył kość jarzmową, szczękę i naruszył oko. Z rozciętego policzka i rozbitego nosa dziewczyny sączyła się krew.

– Wstawaj, żydowski śmieciu! Masz czelność mi się przeciwstawiać?! – wrzasnął.

– Wytrzymaj, córeczko! – wykrzyknęła matka.

– Zatkaj mordę, dziwko! – pogroził jej oficer.

Reinhold był w podłym humorze – wnyki były puste, a na dodatek nic nie upolował. Podążał w kierunku domu, powłócząc za sobą nogi. Asystowały mu dwa wilczury. Psy zatrzymały się,

nadstawiły uszu i zjeżyły sierść. Grabarz zbliżył się do muru. Na podwórzu stała Rachel. Otaczał ją wianuszek żołnierzy. Serce omal nie pękło mu z bólu, gdy dostrzegł katującego córkę drągała.

Zalała go fala wściekłości. Wstąpił w niego diabeł. Opanowały go demony. Poczul się wojownikiem. Bojażń zastąpiła odwaga, strach – brawura i desperacja. Postanowił udowodnić sobie i innym, że w obronie bliskich gotów jest ponieść najwyższą ofiarę.

– Niech mnie pochłoną moce piekielne. Moje parszywe życie dobiega końca. Zabieraj mą duszę, władco piekieł, ale w zamian ocal moją córkę – wyszeptał.

Wybierał się w ostatnią podróż. Namacał dłonią rękojeść bagnetu, poprawił tkwiący za paskiem toporek, przykucnął, oparł lufę mausera na marmurowym krzyżu, przeładował broń i wziął na muszkę żołnierza stojącego najbliżej Racheli.

Kirst wciągnął do stodółki Helgę, oparł o ścianę karabin, powalił zmasakrowaną dziewczynę na siano, zadarł jej spódnicę do góry, opuścił spodnie i szybko zgwałcił. Z wyrazem błogości na twarzy wstawał z klęczek, gdy rozległ się strzał.

Reinhold ukatrupił jednego z żołnierzy. Przeładował broń i wypalił ponownie. Tym razem chybił. Na twarzach gestapowców pojawiło się zaskoczenie.

Rachela wyciągnęła z rękawa sztylet o cienkiej, ostro zakończonej głowni i podłużnym jelcu. Obie krawędzie tnące były zaostrome. Hartowana stal zaśniła w promieniach słonecznych jak kryształowy soplel. Zrobiła szybki ruch i zanurzyła nóż w szyi najbliżej stojącego piechura. Szkarłatne bryzgi krwi z przeciętej tętnicy utworzyły obłoczki czerwonej mgiełki. Ostrze przecięło nie tylko aortę, lecz także tchawicę i mięśnie

podgnykowe. Żołnierz zacharczał, ugięły się pod nim kolana i runął na ziemię, jak podcięte drzewo.

Porucznik skoncentrował się na podążającym w jego stronę mężczyźnie. Stwór na tykowatych nogach trzymał w jednej ręce karabin, w drugiej – siekierkę. Towarzyszyły mu wilczury. W oczach czworonogów czaiła się śmierć, ich nozdrza i wargi drżały, z otwartych mord buchały kłęby pary, a kły ociekały śliną.

Amon wyszarpnął z kabury pistolet, ale nie zdążył go przeładować, gdyż Rachelą chlusnęła mu w oczy kwasem. Podbiegł do niego Reinhold i dzielił go obuchem toporka w głowę. Rozległ się trzask – kość potyliczna pękła jak skorupka jajka. Nadczłowiek osunął się na ziemię. Krew wymieszana z białą treścią mózgu wyciekała na jasne włosy.

Grabarz rzucił się w stronę stodółki.

Kirst chwycił karabin, otworzył drzwi składziku i wymierzył broń w pierś napastnika. Miał pecha – zaplątał się w opuszczone spodnie, potknął i runął. Jego umięśniony kark ułożył się na drewnianym progu jak na kacim kłocu. Przyszedł czas na egzekucję. Reinhold z wprawą średniowiecznego oprawcy odrąbał mu głowę. Z przeciętych arterii trysnęła krew.

Rachelą pochyliła się i sięgnęła po leżący na ziemi karabin. Nie zdążyła go jednak pochwycić. Pozostali przy życiu żołnierze wymierzyli w nią automaty i puścili serię. W ułamku sekundy zrobili z niej sito.

Reinhold uzmysłowił sobie, że stracił wszystko, co nadawało sens jego plugawemu życiu. Wstąpiła w niego krwiożercza bestia. Wył i ryczał. Miotał się jak szalony. Instynkt podszeptał mu, żeby nie biec prostą linią przez podwórze. Przeskakiwał więc z nogi na nogę. W lewo, w prawo. Poruszał się zygzakami

i zmieniał kierunek biegu. Rzucił się w stronę żołnierzy. Ci nie mogli go namierzyć. Jednemu zaciął się karabin. Grabarz zbliżył się do bramy i nacisnął spust – mauser wypalił. Pocisk trafił esesmana między oczy. Niby nic – niewielki, osmolony otworek w środku czoła, a człowiek był trupem.

– Bierzcie ich! – poszczuł psami umykających gestapowców. Jeden z wilczurów został trafiony, zaskomlał i zarył głową w zaspę. Szanse się wyrównały, ale na nieszczęście Reinholda do cmentarza zbliżała się ciężarówka. Wracający z ćwiczeń kadeci usłyszeli strzały i skręcili w kamienistą drogę.

Wydawało im się, że znaleźli się na planie horroru. Wilczur zaatakował esesmana, zacisnął zęby na łydce, a zakrwawiony mężczyzna dopadł do niego i poderżnął mu gardło. Żołnierz zacharczał. Wydana została komenda „pal!”. Młodzi adepci, którzy pół godziny temu mierzyli do tarcz, naszpikowali Reinholda i psa setkami pocisków. Ciałem grabarza wstrząsnęły drgawki. Wił się w agonii. Wbił w zmarzlinę paznokcie i czołgając się, pozostawiał za sobą czerwone smugi.

Zaczęła się zadymka. Białe puch wirował w powietrzu, postrzępione płatki kłębiły się i podrygiwały, wykonując taniec śmierci nad rozciągniętymi ciałami. Z ran ofiar ciekła krew, tworząc na nieskazitelnej bieli szkarłatne wzorki, a śnieg wchłaniał posokę jak nienasycony wampir.

Helga leżała na zmierzwionym sianie. Drobiniki życia tliły się w jej ciele. Złamane żebra, strzaskana kość policzkowa i naruszona szczeka urażały ją przy najmniejszym ruchu. Znaleźli ją kadeci. Sprawdzili, czy żyje, ułożyli na noszach i zanieśli do kuchni. Jedyne, co zapamiętała z tego epizodu, to chrzęszczący śnieg pod wojskowymi buciorami.

Jeden z żołnierzy dorzucił szczap do pieca. Inny postawił czajnik na płycie. Helga przestała szcząkać zębami. Spróbowała unieść głowę, ale świat zawirował jej przed oczami. Krew pulsowała w skroniach, mgliste opary zasłoniły oczy. Dudniło jej w uszach. Z trudem oddychała. Na czole pojawiły się krople potu. Była bliska omdlenia. Nawet przełknięcie śliny wiązało się z bólem. Słabo widziała na lewe oko. Z poranionych ust wydobywał się bełkot. Na zadawane pytania odpowiadała jedynie skinieniem głowy lub zapisywała odpowiedź na kartce. Nie zdawała sobie sprawy ze swego położenia. Zabito jej rodziców, została sierotą. Okaleczono ją, zhańbiono i obdarto z godności.

Z miejsca kaźni usunięto gapiów. Teren pobojuwiska odgrodzono taśmą. Wystawiono strażę. Ekipa przystąpiła do pracy. Robiono notatki i szkice, medycy oglądali zwłoki. Na podstawie opisów, zeznań ocalałego żołnierza, Helgi i opinii lekarzy miał zostać sporządzony ostateczny raport.

Bilans potyczki był porażający. Osiem trupów! Zginęła Rachel i Reinhold oraz sześciu żołnierzy, wliczając w to porucznika. Dwie ofiary poległy od kul, jednej podcięto gardło, innej przebito sztyletem krtani, porucznik miał poparzoną twarz i strzaskaną czaszkę, a kapral – oddzieloną od korpusu głowę. Ocalał tylko kierowca.

Major gestapo zamierzał postawić Helgę przed plutonem egzekucyjnym. Zdawał sobie jednak sprawę, że wojska sowieckie są tuż-tuż. Kto wie, co przyniesie przyszłość? Lepiej się asekurować.

Kilka godzin temu Helga była atrakcyjną panienką. Obecnie przedstawiała żaloszny widok. Była ludzkim odpadkiem, wrakiem człowieka, krwawym ochłapem. Z trudem utrzymywała się na nogach. Lewy policzek był opuchnięty i przybrał purpurowy

kolor. Oko łzawiło, a z ust wyciekała różowa ślina. Stała przed majorem z opuszczoną głową, jakby się wstydziła.

– Na dzisiaj kończymy. Jutro zjawi się urzędnik z aktami zgonów i zeznaniami do podpisania. Zabieramy ze sobą martwych żołnierzy, aby ich pochować. Natomiast zwłoki twoich rodziców oblejemy benzyną i spalimy – oznajmił jej, wskazując dłonią pokryte białym puchem trupy.

Twarz Helgi wyrażała przygnębienie. Oficera ogarnęła litość. „Wystarczy jeden zastrzyk i będzie po sprawie. Przecież to jeszcze dziecko” – pomyślał. Szybko jednak odrzucił tę myśl, uznając, że skoro dziewczyna przeżyła, to najwidoczniej los tak chciał.

– Poproszę medyka, aby cię opatrzył – odezwał się na odchodnym.